I-64006/II

INSTYTUTU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Cena 1 zł

GEMMA CIVITATIS • PAX •

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI | Warszawa, 31 lipca 1955 r. | Nr 30 (504)

Uniwersytet Gdański Biblioteka

Civ 9013

ZWYCIĘSTWO ROZSĄDKU

DOMINIK HORODYŃSKI

Genewa, 24 lipca 1955

POMYŚLNY rezultat obrad konferencji genewskiej wywołał radość wszystkich narodów i zrozumiany został powszechnie jako wydarzenie przełomowe.

Na czym polega ten przełom? — Jego znaczenie nie leży w usunięciu problemów spornych różniących mocarstwa. Problemy te nadal pozostają do rozwiązania i rozwiązanie ich nie będzie ani łatwe, ani szybkie. Natomiast wspólnie podjęta została decyzja, że wszystkie sprawy sporne mają być rozwiązywane na drodze rokowań i jednomyślnych uzgodnień, nie zaś przy pomocy polityki siły i szukania wojny. Wspólnie wskazany został kierunek dalszych prac, które doprowadzić mają do pełnej normalizacji stosunków międzynarodowych. Wspólnym wysiłkiem przywrócone zostało zaufanie między wielkimi mocarstwami.

Wiele czynników wpłynęło na to, że właśnie teraz, w lipcu 1955 r. szefowie rządów czterech mocarstw zdołali dojść do porozumienia, zdołali zatrzymać falę „zimnej wojny" i narastającego od wielu lat napięcia, i nadać inny kierunek rozwoju w sytuacji międzynarodowej.

Ogromną rolę odegrała tu presja pokojowej woli opinii publicznej, fizyczne niemal odczuwanie tej presji przy stole obrad. Rosnąca świadomość grozy nowych broni masowego zniszczenia coraz bardziej krzyżuje plany zwolenników wojennych rozwiązań. Duże znaczenie ma również fakt osiągnięcia równowagi sił i ostateczne złożenie do lamusa jednostronnego straszaka bomby wodorowej.

Umiejętne, pełne poczucia odpowiedzialności za pokój i przyszłość świata wykorzystanie tych wszystkich czynników przez politykę i dyplomację radziecką umożliwiło zwołanie konferencji genewskiej, do sukcesu której przyczyniła się również postawa kierowników mocarstw zachodnich. Prezydent Eisenhower spotkał się z gorącym poparciem amerykańskiej opinii publicznej, zachowując w toku obrad umiar i dążenie do kompromisu. To samo powiedzieć trzeba o przywódcach rządów Wielkiej Brytanii i Francji, choć przebieg konferencji, której chodziło przede wszystkim o zbliżenie pozycji i odprężenie między dwoma największymi z wielkiej czwórki, nie wymagał, w odróżnieniu od konferencji azjatyckiej, niczyjego pośrednictwa. Dialog radziecko - amerykański od pierwszej chwili ułożył się właściwie.

DYREKTYWY

WSPÓLNE dyrektywy szefów rządów przekazane ministrom spraw zagranicznych odznaczają się wielkim realizmem. Redagowanie tych dyrektyw napotkało na pewne trudności, dotyczące przede wszystkim wzajemnej zależności sprawy zjednoczenia Niemiec i zagwarantowania bezpieczeństwa w Europie. W rezultacie wielogodzinnych rokowań zwyciężył duch rozsądku i konieczność liczenia się z faktami, które wskazują, że osiągnięcie zjednoczenia Niemiec bez uprzedniego zapewnienia bezpieczeństwa w Europie nie jest realne w sytuacji, kiedy Niemiecka Republika Federalna związana jest układami paryskimi. Przywrócenie jedności państwa niemieckiego, co jest koniecznością uznaną przez wszystkie wielkie mocarstwa i celem wysiłków sił pokojowych, nie może dokonać się bez udziału samych Niemców. Każda mechaniczna koncepcja jest nierealna, dopóki nie nastąpi odprężenie i zbliżenie między obu istniejącymi państwami niemieckimi, dopóki nie będzie możliwe podjęcie wspólnych wysiłków zmierzających do zrealizowania jedności Niemiec. Rozładowywanie konfliktów między NRD i NRF mieści się w ramach dążeń zbliżających Europę do systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Utworzenie tego systemu bezpieczeństwa wymaga liczenia się z istniejącymi ugrupowaniami polityczno - wojskowymi, stopniowego zbliżania ich ze sobą — aż do likwidacji i powstania jednego wspólnego systemu, zapewniającego pokojowe warunki narodom Europy i świata.

Sformułowania dyrektyw konferencji genewskiej w sprawie bezpieczeństwa europejskiego i Niemiec spotkały się z jak najgorszym przyjęciem w tych kołach zachodnio - niemieckich, które stawiają na politykę siły i naiwnie sądziły, że przy pomocy układów paryskich uda się im całe i zmilitaryzowane Niemcy — i to w charakterze czynnika dominującego politycznie i wojskowo w Europie zachodniej — wprowadzić do paktu atlantyckiego i UZE. W istocie dyrektywy podkreślają zapomnianą w okresie zimnej wojny zasadę wspólnej odpowiedzialności wielkich mocarstw za los Niemiec. Tym samym kładą one kres wszelkim próbom jednostronnych rozwiązań, które od dziś oznaczać by musiały złamanie deklaracji genewskiej. Wymowa polityczna decyzji szefów czterech rządów i zbliżenie radziecko - amerykańskie, które dla militarystów niemieckich kojarzy się nieodparcie ze wspomnieniami z Berlina 1945 r., oznacza wielką klęskę autorytetu politycznego kanclerza Adenauera, którego tezy nie wytrzymały próby życia. Natomiast są one wielką zachętą dla tych wszystkich narodowych sił niemieckich, które rozumieją, że zjednoczenie Niemiec zależy przede wszystkim od stworzenia ku temu warunków przez samych Niemców. Rozwój wydarzeń przyznał rację nie tylko politykom SPD, którzy przeciwstawiali się układom paryskim. W Genewie widzieliśmy wielu

(Dokończenie na str. 2)

MIKOŁAJ ROSTWOROWSKI

FESTYN BRATERSTWA

FESTIWAL warszawski będzie najpiękniejszą z zabaw jakie zna świat. Kto był w Pradze, Budapeszcie, Berlinie czy Bukareszcie na minionych festiwalach, przyzna mi w tym rację. Utarło się bowiem zwyczajowe prawo, że każdy następny międzynarodowy zlot młodych przewyższa rozmachem imprez i bogactwem treści — poprzednie. To nam wystarczy i do innych porównań nie ma potrzeby się odwoływać. Sama bowiem, niespełna dziesięć lat licząca, instytucja festiwalów posiadających taki zakres i moralny ładunek — w ogóle nie ma precedensu.

Kiedy określam festiwal jako zabawę, urzekający festyn świateł, muzyki i barw, czynię to bez znaczącego mrużenia powiek, a całkiem świadomie. Tak jest: młodzi będą się bawić. I nie mają racji zarówno ci, którzy mówią: „to będzie zabawa plus polityka", jak i naiwni entuzjaści zabawy „wyzwolonej", zabawy „samej w sobie".

Przed dwoma laty tańczyłem w Bukareszcie perenicę, a kilkanaście dni temu wraz z Jarosławem Ładoszem uczestniczyliśmy z ramienia Polskiego Biura Festiwalu w zlocie kanadyjskiej młodzieży z prowincji Ontario.

Czytaliście „Anię z Zielonego Wzgórza"? Formalnie rzecz biorąc, tam, w Camp Palermo niedaleko Torronto odbywał się właśnie, wprawdzie nie parafialny czy powiatowy, ale powiedzmy — wojewódzki piknik. Tylko samochody zastąpiły dyliżanse, lecz poza tym na pozór — jota w jotę — majówka — z obecnością familiantów, kiełbaskami, słodyczami i chłodnym kruszonem. Przez dwa dni trwały gry sportowe, popisy i eliminacje artystyczne, a ostatniego wieczoru systemem zabawy w „tropy" organizatorzy rozrzucili po boiskach kartki z wezwaniem, ażeby młodzi farmerzy, studenci, robotnicy, chrześcijanie i komuniści zabrali głos w dyskusji na temat „Rola jednostki w odpowiedzialnym społeczeństwie". Chociaż drużyny koszykówki z Hamiltonu i Montrealu trochę zbyt głośno hałasowały — dyskusja w cieniu rozłożystych klonów i buków miała przebieg całkiem pasjonujący. Potem wszyscy jej uczestnicy ruszyli tłumnie do wielkiej szopy, gdzie muzykowała znakomita orkiestra żydowska, i tu zobaczyłem słynny kanadyjski „bonny hop" — taniec zajęczy, melodyjnością, pomysłowością i rytmiką bijący nawet... perenicę. Młodzi obywatele Kanady: Anglicy, Francuzi, Macedończycy, Chińczycy, Ukraińcy, Żydzi, Włosi zespoleni w tanecznym pochodzie manifestowali z nieprawdopodobną dynamiką i wdziękiem radość z posiadanej sprawności, uciechę z potwierdzanego koleżeństwa, przejęcie się poczuciem zawężlanej wspólnoty. Wszystko to jednak nie miało nic wspólnego z jakimś biologicznym „zusammenmarschieren". Na gruncie spraw będących przywilejem młodości, siłą nieuniknionej dialektyki faktów wyraźniały najistotniejsze problemy ludzkie.

Można by długo wyliczać cienie kłopotów i trosk, szczególnie ostro widzianych właśnie w zestawieniu z upragnionym i jakże naturalnym zrywem ku radości. Wszystkie one niemal z reguły miały łatwe do prostego uogólnienia podłoże: lęk o pracę. Stąd już tylko krok do rozumienia związku kryzysu nadprodukcji z ograniczeniem wymiany między Wschodem a Zachodem, z wojenną psychozą. Ci chłopcy i dziewczęta właśnie w trakcie zabawy zyskiwali czujną, polityczną świadomość.

Oto także walą się w gruzy przesądy rasowe, bo na przykład Chińczycy są najlepsi w siatkówce, a znów Francuzi okazali się w base-ballu sprawniejsi od Anglików, uchodzących dotąd za speców w tej dziedzinie. Nie Ukraińcy ani Węgrzy, lecz właśnie Żydzi zaśpiewali najpiękniej, a jeżeli chodzi o ulubione przyjemności, to w gruncie rzeczy — pasje są podobne. I troski i obawy też są takie same i miłość do Ojczyzny bez względu na język rodziców jednakowo silna. I kiedy w trakcie dyskusji pod klonami jakiś młody robotnik ze Stanów zaintonował kpiącą piosenkę o Mac Carthym, okazało się, że umieją ją wszyscy, a studentka z „Christian Movement", która stała obok mnie i w dyskusji krytykowała brak swobód politycznych w demokracjach ludowych dla przeciwników ustroju socjalistycznego — starała się śpiewać szczególnie głośno i wyraźnie. Niechęć do działalności człowieka, którego nazwisko symbolizuje dążenie do atomowych krucjat, a na codzień oznacza ograniczanie suwerenności krajów penetrowanych przez dolar i narastający kryzys na narodowym rynku pracy — łączyła wszystkich. Myślałem: Oto mikrokosmos naszego, dużego Festiwalu.

Zbieg okoliczności sprawił, że Kanada jest zróżnicowana etnicznie, co dodatkowo zwiększało analogię. Ale nie w tym sedno rzeczy. Sądzę, że w Camp Palermo z laboratoryjną precyzją nasi kanadyjscy przyjaciele pokazali, w jaki sposób w imprezach młodzieżowych polityka przestaje być mechanicznym dodatkiem do zabawy, a staje się jej organiczną funkcją.

W Warszawie tak właśnie będzie. Na przekór purytanom nie wierzącym w życie pozazebraniowe, a przyjmującym taniec i śpiew jako zło konieczne, czy nieunikniony środek dydaktyczny i na przekór — co tu owijać w bawełnę — bikiniarzom, czułym na egzotykę, a impregnowanym na człowieka, który kocha, cierpi i raduje się jak każdy z nas, ba —jak każdy z n i c h.

Młodzi katolicy polscy wielokrotnie będą mieli okazję spotykania się z zagranicznymi kolegami o identycznym obliczu światopoglądowym. Szczególnie dużą dla nas radością stanie się nawiązywanie znajomości z katolickimi uczestnikami Festiwalu, pochodzącymi z krajów ustrojowo odmiennych od naszego. Czyż można sobie wyobrazić wspanialsze potwierdzenie powszechności Kościoła, który jest jeden zarówno pod Hanoi czy za Atlantykiem, jak tu nad Wisłą?

Festiwal ma za zadanie pomnażać w każdym z uczestników i wśród ludzi przypatrujących się mu w Polsce i za granicą — wolę zdobywania coraz lepszych warunków dla osobistej i zbiorowej pomyślności. Festiwal chce zaświadczyć w sposób maksymalnie konkretny, że ten cel da się osiągnąć tylko przez świadomą walkę o pokojowe współistnienie narodów i nawet całkowicie sprzecznych ustrojów. Jakżeż pomocne jest tu doświadczenie katolików polskich i ich Episkopatu, ukazujące mozolnie budowaną drogę dla rozwoju życia religijnego i pełnienia przez Kościół Jego misji w państwie kierowanym przez ludzi wyznających światopogląd materialistyczny. Jednak nie wystarczy duma ze szlachetnej rangi, która katolicyzmowi w Polsce przypadła w udziale — w tych wielkich zmaganiach, gdzie alternatywą jest atomowy zamach lub trudna praca dla pokoju. Chodzi także o przypomnienie naszym zagranicznym braciom, że ciągle jeszcze w niedostatecznym stopniu religia miłości Boga poprzez miłość człowieka — jest źródłem praktycznie zasilającym dążenie do utrwalenia pokoju i zbiorowe starania chrześcijan o doskonalące przekształcanie świata.

Z najchłonniejszą uwagą będziemy słuchać o ich zainteresowaniach, troskach, sukcesach. Rozejdziemy się bogatsi o tę właśnie wspólną wymianę doświadczeń, o serdeczną bliskość, która ze spotkań wyniknie, o przyjaźń, która jak, definiując miłość, mówi jeden z katolickich pisarzy Francji „nie polega na wzajemnym wpatrywaniu się w siebie, ale na patrzeniu razem w tym samym kierunku". Kierunek znamy: Pokój na ziemi, a między ludźmi — braterska sprawiedliwość.

Mikołaj Rostworowski

DMITRIOŚ

„... POLSKA ZAWSZE BYŁA MI NA MYŚLI"

ERWIN WRÓBEL

NA stronie 53 książki Rogera Battaglii „O programie gospodarczym Polski", wydanej w roku 1727*) znajdziemy takie oto znamienne sformułowania: „Przed wojną w r. 1912 emigracja zamorska wynosiła 190.000, a kontynentalna (sezonowa) około 500.000 głów rocznie. Na r. 1926 preliminuje GUE tylko 34.000 na emigrację zamorską, a zaledwie 103.000 na kontynentalną. — Nawet gdy będziemy mogli przystąpić już do realizacji stałego programu gospodarczego, problemat wyszukiwania rynków zbytu na nadmiar sił ludzkich oraz technicznego ułatwienia emigracji przez długi czas jeszcze pozostanie aktualnym. (...) Trzeba tu jednak koniecznie wychodzić z założenia, że o wiele lepiej jest mieć ludność mniej liczebną a lepiej żyjącą oraz oszczędzającą i bardziej zadowoloną ze stosunków, niż liczniejszą a wegetującą bez możności oszczędzania i skłonną do przypisywania winy Państwu. Są choroby, na które pomaga skutecznie tylko puszczenie krwi. (...) W naszej obecnej sytuacji demograficznej i gospodarczej rozważania na temat, którą emigrację należy popierać a którą hamować, są jałowe. Każda, nawet najgorsza jest teraz dobra. Gdybyśmy nawet na równiku dostali obszary do kolonizowania, to należałoby je przyjąć — na ryzyko, że część zmarnieje, a tylko druga część przystosuje się do klimatu i utrzyma się, mieszając się z rasami miejscowymi".

Gwoli oszczędzania wytrzymałości czytelnika zaniechamy dalszego cytowania osobliwych „myśli" pana Battaglii. Możemy również oszczędzić sobie komentarzy na temat planów „puszczenia krwi" i osiedlenia niezadowolonych — a zatem niebezpiecznych dla istniejącego porządku burżuazyjnego — nędzarzy na równiku. Trzeba wszakże pamiętać, że taki sposób myślenia obowiązywał niedawno jeszcze w gronie dygnitarzy przedwojennej Polski, których przerażał fakt, że wskutek stosunkowo wysokiego przyrostu naturalnego „przybywa rocznie około 360.000 gęb do żywienia" (autentyczny cytat!).

Emigracyjny „Nasz Dziennik" (Notre Journal) wychodzący w Paryżu drukuje w numerze z dnia 9 lipca br. pismo Krajowej Federacji Górników (podpisane przez Sekretarza Generalnego V. Duguet'e) do grup parlamentarnych Zgromadzenia Narodowego, w którym czytamy m. in.: Górnicy ci (polscy) przybyli do pracy w naszych kopalniach po pierwszej wojnie światowej, gdy Francja, której okręgi górnicze uległy zniszczeniu, odczuwała poważny brak siły roboczej. Przybyli do Francji, bo ich proszono o to, i przedstawiciele francuscy w Niemczech obiecali im, że przepracowane w kopalniach niemieckich lata, podczas których wpłacili składki do niemieckiej Kasy Emerytury, zostaną policzone we Francji, skoro osiągną wiek emerytury. Obietnica ta nigdy nie została dotrzymana. A przecież ci górnicy pracą swą dużo dali Francji, synowie ich objęli zawód górniczy, bili się podczas ostatniej wojny i wielu z nich poległo za Francję. Dziś ci starzy górnicy, którzy mają za sobą dziesięć, dwadzieścia lub więcej przepracowanych lat w kopalniach niemieckich, żyją w nędzy, ponieważ nie korzystają z konwencji francusko - niemieckiej podpisanej w 1950 r. Niektórzy nie mają za sobą piętnastu przepracowanych lat we Francji, wskutek czego nie korzystają z proporcjonalnej pensji ani z korzyści takich jak: pomoc lekarska, mieszkanie itp. Los wdów jest jeszcze godniejszy pożałowania. Niesprawiedliwość ta jest tym większa, że o ile górnicy ci nie mogą korzystać z konwencji francusko - niemieckiej z 1950 r. jako obywatele polscy, obiecuje im się prawo korzystania z niej, o ile zadeklarują się „uchodźcami" na podstawie dodatkowej umowy Nr 3. Czemu przypisać te dyskryminacje? Czemu postawić tych starców i staruszki przed takim konfliktem moralnym? Jeśli dali wszystko co mogli swej przybranej ojczyźnie, zachowali niemniej przywiązanie do swej Macierzy, co jest ich zasługą".

Dla uzupełnienia obrazu przytoczę jeszcze fragment wspomnień Mariana Chrzczonowskiego.

„Było to w pierwszych dniach października 1944 roku. Wracałem wraz z matką z Koniecpola, dokąd wywiezionuo nas z pruszkowskiego obozu. Towarowy pociąg zatrzymał się na dworcu stradomskim w Częstochowie i z uciekających deszczem węglarek wysypało się kilkadziesiąt obładowanych tobołami osób — resztki pruszkowskiego transportu: warszawianie, którzy tak, jak my wracali z powrotem, aby na resztkach GG szukać chwilowego przytułku. Był późny wieczór, już po godzinie policyjnej. Droga do znajomych była daleka i ze względu na patrole policji — niebezpieczna. Staliśmy z matką przemoczeni, głodni i bezradni przy nędznym naszym dobytku i zastanawialiśmy się, jak ruszyć w dalszą drogę. Dworzec powoli opustoszał i już mieliśmy pomaszerować za innymi, kiedy podszedł do nas jakiś kolejarz w niemieckim mundurze i cicho zapytał po polsku: — dokąd pan chce iść?

Nie będąc pewnym, w jakim celu pyta, obrzuciłem go nieufnym spojrzeniem, on jednak powtórzył, jakby z pewnym zażenowaniem — proszę mi powiedzieć, chcę państwu pomóc.

Zdziwiony niezmiernie, nie byliśmy przecież przyzwyczajeni do tego rodzaju odruchów ze strony ludzi z pod znaku swastyki, odpowiedziałem, że chcemy dostać się do śródmieścia.

— Proszę iść za mną, ja poprowadzę — powiedział kolejarz i podniósł z ziemi naszą największą walizę. Poszliśmy za nim. Przez chwilę trwało milczenie, kolejarz jednak poczuwał się do obowiązku udzielenia nam wyjaśnień.

— Proszę się nie dziwić — powiedział — jestem Polakiem. Widziałem — warszawiacy, chciałem pomóc. —

Pomyślałem, że jest może Ślązakiem, może z Pomorza... Nie.

— Pochodzę z pod Łomży. Właściwie ja to już nie. Ja jestem z Meinz nad Renem. Ojciec mój wyjechał z Polski pewnie ze czterdzieści lat temu. Była bieda, nie było co jeść. Tam znalazł pracę. Potem dostał obywatelstwo niemieckie. Ja się urodziłem już w Niemczech. Chodziłem do niemieckiej szkoły. Podczas poprzedniej wojny ojciec służył w niemieckim wojsku i dostał się nawet do rosyjskiej niewoli. Kiedy wracał przez Polskę, chciał koniecznie zostać. Ale cóż, ja z matką daleko za Renem. Przyjechał, żeby nas zabrać, ale jak przyjechał, to już i został. Próbował nawet później jeszcze kilka razy, ja też się starałem. No a w końcu przyszedł Hitler i trzeba było o wszystkim zapomnieć. Wracać nie było można i nie było po co. Tam w Polsce też na nas nie czekali. —

Szliśmy przez puste ulice Częstochowy. Na szczęście nie spotkaliśmy po drodze żadnego patrolu. Zatrzymaliśmy się przed domem naszych znajomych. Podziękowałem serdecznie kolejarzowi. Zapisaliśmy swoje adresy. On — mój, już nie istniejący w Warszawie, ja — jego w Meinz.

— Może kiedyś po wojnie wrócę do Polski. Odwiedzę Pana wtedy — rzekł odchodząc.

Chciałem powiedzieć mu coś miłego, serdecznego, ale on zniknął w ciemności uliczki, a dozorca otwierał bramę".

*

TRZY przydługie cytaty charakteryzują problem. Nie można nie uznać, że masowa emigracja zarobkowa była jednym z najbardziej tragicznych następstw półkolonialnej struktury społeczno-gospodarczej Polski międzywojennej oraz egoizmu i nieporadności klas panujących. Słuszne wydaje się stwierdzenie, że Polacy obok Żydów należą do najbardziej rozproszonych po świecie narodów. Przed wojną obliczano Polaków poza granicą państwa polskiego na kilkanaście milionów. Ten smutny stan rzeczy nie pozwala skwitować problemu emigracji zarobkowej stwierdzeniem, że należy on do historii, kiedy specyficzne pojęcie narodu pozwalało w interesie ochrony porządku burżuazyjnego „upuszczać krew" narodową. Nie wystarczy również stwierdzić, że Polska Ludowa nie tylko nie odczuwa potrzeby „eksportowania ludzi", lecz odwrotnie — potrzebuje coraz więcej rąk do pracy. Trzeba zastanowić się czy wyczerpaliśmy wszystkie środki dla przeprowadzenia szerokiej i długotrwałej akcji reemigracyjne, czy nasza propaganda dociera do wszystkich poważniejszych skupisk Polaków na emigracji? Sądzę, że negatywna odpowiedź będzie zgodna ze stanem faktycznym. Np. amerykańskie grupy emigrantów zarobkowych — dawniej pozbawione własnej inteligencji — opanowane są dziś przez nową londyńską emigrację polityczną. Tego, jaki obraz Polski Ludowej musi się w związku z tym rysować Polakom amerykańskim nie trzeba tu chyba wyjaśniać, znając poglądy polityczne emigracji londyńskiej. W tych warunkach działalność propagandowa wśród emigracji prowadzona przez nasze placówki dyplomatyczne jest mało skuteczna. Oczywiście, w innych krajach, np. we Frnacji sytuacja jest o wiele korzystniejsza.

Byłoby przesadą sądzić, że właściwie zorganizowana propagandowa i organizacyjna akcja reemigracyjna może wrócić ojczyźnie wszystkich Polaków z zagranicy. Część z nich znalazła w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Francji, Australii i innych krajach swoją drugą ojczyznę, a język ojczysty i organizacje polskie traktują jako niezobowiązujący sentyment. Procesy asymilacji narodowej przebiegają z historyczną koniecznością mimo wysiłków olbrzymiej ilości polskich związków kulturalnych, politycznych i towarzyskich. Są jednak ludzie, którzy, jak ów staruszek piszący w amerykańskim „Przyjacielu Ludu" (1907): „Aby Pan Jezus dał doczekać nam kiedyś powrócić i zastać inną gospodarkę na naszej polskiej ziemi" — tęsknią za piaskami mazowieckimi i szczytami Tatr. Oto mamy już ową „inną gospodarkę", w której miejsce przy warsztacie znajduje każdy, kto ma ręce do pracy. Jest więc ten czas, o którym marzyli tragiczni bohaterowie „Latarnika" i „Za chlebem". Trzeba, aby wiedzieli o tym ci, którzy tak długo czekali. Doceniając znaczenie sentymentu i świadomości narodowej nie można nie zauważyć oczywistego faktu. że część emigrantów lepiej sytuowanych w krajach zachodnich nie zawsze znajdzie w Polsce Ludowej od razu warunki do takiej stopy życiowej, jaką mieli za Zachodzie. Trzeba umieć znaleźć właściwą argumentację polityczną, która wyjaśniłaby obiektywnie znaczenie ogólno-narodowego wysiłku budowania bogatej i silnej Polski. Trzeba odwołać się do sumienia patriotycznego.

Nie jest to zresztą sprawa nowa. Akcja reemigracji Polaków z Francji przyniosła w tym zakresie wiele doświadczeń. Fakt, że niemal co tydzień wyjeżdża z Francji do Polski grupa reemigrantów, świadczy o skuteczności naszej propagandy. Wielu reemigrantów przyznaje, że przyjechali do Polski zachęceni przez znajomych, którzy wrócili do kraju w okresie wcześniejszym i stwierdzili zgodność haseł propagandowych z rzeczywistością Polski Ludowej.

Sięgnijmy znów do „Naszego Dziennika" (6.7.1955). W artykule pt.: „Grupa repatriantów wyjechała do Polski Ludowej na nowe lepsze życie" czytamy:

„Ostatnio wyjechała do Polski 17-osobowa grupa Polaków. 45-letni Mistak Władysław wraz z żoną Heleną opuścili Ste-Marie aux Chenes i kopalnie rudy, gdzie Mistak pracował przy wyrębowisku. Co ich skłoniło do wyjazdu?

Na co tutaj mamy robić — oświadczają nam — skoro możemy pracować w swoim kraju. Mamy czworo dzieci, które dorastają i chcemy je kształcić. A wyobraźcie sobie, gdy mojego 10-letniego syna chciałem oddać do liceum w Metzu, odmówiono jego zapisu, ponieważ nie miał obywatelstwa francuskiego. Ma lat 10 i bardzo dobrze się uczy — mówi matka z zadowoleniem. — W Polsce bez kłopotów będzie się mógł uczyć. Zresztą piszą nam z Polski krewni, którzy wyjechali w 1946 roku, że mamy przyjechać...

35-letni Jan Szymorek z Criquebeuf. Wyjechał do Niemiec na przymusowe roboty koło Wismaru. Kolejno przebywał w sześciu czy siedmiu obozach. Po wyzwoleniu Szymorek znajdował się w obozie Czerwonego Krzyża. Zapisał się już na wyjazd do Kanady, lecz w ostatniej chwili odmówił wyjazdu, „gdyż powiedziałem sobie, że pieszo przez wodę nie wrócę".

Obawiałem się — mówi on — wrócić do Polski, bo myślałem, że zastanę tę samą biedę, którą opuściłem w 1939 roku. I wyjechałem do Francji. Po pewnym czasie chciałem wracać, ale pewna rodzina wstrzymała mnie. Korespondowałem z bratem, który mi pisał ze Szczecina, że mam wracać. Rodzice też mi piszą, że mam wracać, bowiem jest obecnie lepiej, niż przed wojną. Będę mógł przynajmniej pracować w swoim zawodzie, jako stolarz lub stelmach.

60-letnia szwaczka, Owczarz-Bogacz, która mieszkała w Roubaix, przyjechała do Francji w 1924 roku z Kalisza, do którego teraz po długich latach wraca. Była już raz w Polsce w 1948 roku i podobało jej się. „We Francji tyle lat byłam, ale Polska zawsze mi była na myśli, bo to swój kraj" — oświadczyła nam z zadowoleniem na myśl powrotu do Ojczyzny".

Wydaje się, że proste słowa o Polsce i pracy cytowane powyżej są właściwym językiem, którym winniśmy przemawiać do naszych rodaków za granicą, po to, aby coraz mniej Polaków tułało się po różnych kątach świata, coraz więcej budowało w kraju własne szczęście i szczęście własnego narodu. Niechaj wiedzą, że czeka na nich piękno ojczystej ziemi, warsztat pracy i otwarte serce narodu polskiego.

ISTNIEJE otwarty problem najnowszej emigracji politycznej i nie tylko politycznej, problem tych wszystkich ludzi, którzy w wyniku II wojny światowej znaleźli się na Zachodzie i do dnia dzisiejszego nie powrócili do kraju. Na łamach pism Polski Ludowej, w tym również w niniejszym tygodniku, znalazło się wiele gorzkich i ostrych słów pod adresem nowej emigracji, znalazły się również słowa serdeczne, wzywające o powrót do kraju, słowa, które usiłowały wczuć się w sytuację rozdartych sumień wielu naszych rodaków za granicą. Wiele listów, jakie napływają do nas z Zachodu, wiele rozmów, jakie przeprowadzili nasi koledzy w czasie wyjazdów za granicę przekonało nas o tragicznych nieraz przeżyciach i rozterkach wewnętrznych licznych uczciwych lecz wprowadzonych w błąd przez wrogą propagandę emigrantów. Naród nasz budował z olbrzymim wysiłkiem nową rzeczywistość, całe społeczeństwo wprzągnięte zostało w pracę, jakiej nie znała dotąd historia Polski, popełnialiśmy w gorączkowej pracy wiele błędów, ale energia zmobilizowana wokół wielkich celów była niespożyta, wymagaliśmy maksymalnego wysiłku od każdego człowieka, nic więc dziwnego, że w słowach naszych do emigracji zaplątało się zdenerwowanie. Niepokoili i denerwowali nas emigranci, którzy budowali fermy dla Kanadyjczyków i wydobywali węgiel dla Anglików w czasie, kiedy zniszczonej i wykrwawionej wojną Polsce brakowało rąk i umysłów do pracy.

Wielu wróciło. Dziś pracują na roli, w fabrykach, zajmują stanowiska w administracji publicznej, piszą książki, robią po prostu to, co wszyscy Polacy w kraju. Niektórzy uciekli z powrotem. Opuścił Polskę Mikołajczyk i ludzie jego pokroju. Bo też przyjazd jego do kraju nie miał nic wspólnego z tym, do czego dąży naród. Jest rzeczą oczywistą, że nie po to wzywamy emigrantów do kraju, aby zezwolić im na próby restaurowania przebrzmiałego u nas ustroju kapitalistycznego lub prowadzenia akcji dywersyjnych.

Trzeba jednakże uświadomić sobie, że na tym tle powstaje olbrzymia ilość nieporozumień, a w rezultacie rozterek i oporów, które powstrzymują wielu prawdziwych patriotów od decyzji powrotu do kraju. Trzeba rozwiać te nieporozumienia. Nie jest prawdą, że do Polski może wrócić z czystym sumieniem tylko ten, kto dojrzał do wstąpienia do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, nie jest prawdą, że z decyzją powrotu do kraju związana musi być decyzja aktywnego politycznego uczestniczenia w walce o socjalizm, nie chodzi więc o to, aby z góry uznać ustrój socjalistyczny za najsłuszniejszy, chodzi natomiast o to, aby postawa emigranta była postawą patriotyczną, chodzi o to, aby to, co polskie nie było mu obce. Obowiązek obywatela państwa ludowego nie leży na płaszczyźnie przyjęcia światopoglądu marksistowskiego, lecz na płaszczyźnie patriotyzmu, na płaszczyźnie służenia obiektywnym interesom własnego narodu. Jest w Polsce miejsce pracy dla ludzi, którzy dalecy są od marksizmu. Na półkach księgarskich pojawiają się coraz to nowe powieści pisarzy niemarksistowskich, którzy wnoszą swój wkład w rozwój kultury narodowej; w działalności społecznej i politycznej widzimy wielu ludzi o światopoglądzie katolickim, w życiu gospodarczym, socjalnym i administracji pracują ludzie o różnych przekonaniach filozoficznych i politycznych, których łączy jedna sprawa: chcą służyć Polsce. Naród nie jest abstrakcją ani sentymentalną ideą, naród jest grupą społeczną, związaną wspólną świadomością i znajdującą się zawsze w konkretnej sytuacji historycznej, nie można więc chcieć służyć jakiejś abstrakcyjnej idei. Patriotą jest ten, kto służy konkretnym, historycznym interesom narodu. Dziś, w roku 1955, oznacza to służenie tym milionom ludzi, którzy żyją w granicach Polski Ludowej na wschód od Odry i Nysy i na zachód od Bugu. Chcielibyśmy, aby prawdę tę zrozumieli wszyscy uczciwi Polacy na Zachodzie, a więc i ci, którzy w wyniku wielu obiektywnych czynników zajmowali najróżnorodniejsze, często obce i wrogie Polsce Ludowej pozycje polityczne.

Erwin Wróbel

*) Do Roger Battaglia: „O programie gospodarczym Polski oraz o warunkach rozwoju poszczególnych gałęzi wytwórczości". Warszawa 1927. Nakładem Banku Gospodarstwa Krajowego, konkurs Banku Gospodarstwa Krajowego Tom V, str. 402.

ZWYCIĘSTWO ROZSĄDKU

(Dokończenie ze str. 1)

przedstawicieli innych grup opozycyjnych z Niemiec zachodnich, takich działaczy jak dr Heinemann i pastor Niemoeller, płk. von Bonin z „Klubu 54", przedstawicieli b. kanclerza Wirtha, postępowych chrześcijan, działaczy związkowych, pacyfistów itd., którzy przyjeżdżali tu, by domagać się presji ze strony wielkich mocarstw odpowiedzialnych za Niemcy w stosunku do obu rządów niemieckich, w celu skłonienia ich do podjęcia między sobą rozmów i współpracy.

Ożywienie aktywności narodowych sił w Niemczech zachodnich będzie niezmiernie pozytywnym rezultatem postanowień genewskich. Równocześnie jednak siły te będą musiały bacznie pilnować, by zawiedzione nadzieje kół bońskich nie zostały wykorzystane przez elementy skrajnie odwetowe i szowinistyczne.

Dyrektywy w zakresie rozbrojenia i stosunków między Wschodem i Zachodem nie wymagają komentarzy. Można sądzić, że w tej dziedzinie dokonany zostanie w ciągu nadchodzących miesięcy znaczny postęp.

Problemy Azji: przyjęcie Chin Ludowych do ONZ, sprawy Formozy, Wietnamu i Korei nie były przedmiotem konferencji. Lecz i w stosunku do tych zagadnień zarysowała się nowa atmosfera i perspektywy nowych rozwiązań. W wyniku noty rządu radzieckiego do W. Brytanii i demarche premiera Nehru trzy delegacje zachodnie uzgodniły podjęcie odpowiednich kroków, by skłonić saigoński rząd Diema do nawiązania kontaktu z rządem północnego Wietnamu w sprawie przygotowania wyborów zgodnie z decyzjami konferencji azjatyckiej.

PRZEŁOM W NASTROJACH

OD pierwszej chwili tej „konferencji uśmiechów" — taką nazwę nadała jej prasa francuska — znaleźliśmy się w zupełnie innej atmosferze niż na wszystkich poprzednich konferencjach z okresu „zimnej wojny". Dokonany został przełom psychologiczny. Wszyscy czuli, że sytuacja zmieniła się bezpowrotnie, że nie można już odwrócić tego wielkiego zbliżenia, które się dokonuje. Delegacja radziecka objeżdżająca Genewę w otwartych samochodach była witana równie serdecznymi oklaskami i okrzykami jak uśmiechnięty prezydent Eisenhower. Konferencje prasowe rzeczników rządów, teren licznych walk i spięć, tym razem przebiegały harmonijnie w atmosferze wzajemnej lojalności, koleżeństwa i uprzejmości. Warto też podkreślić, że prasa wszystkich krajów na ogół obiektywnie naświetlała przebieg obrad, przyczyniając się poważnie do sukcesu konferencji.

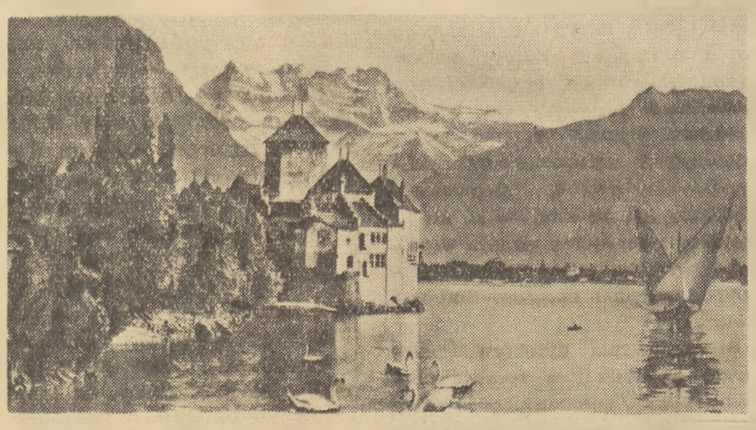

Zamek Chillon nad jeziorem Lemańskim

Może się wydawać, że zmiana w nastrojach i czynniki psychologiczne nie mają istotnego znaczenia, że są zmienne i nie decydujące. Osobiście sądzę, że zmiana ta jest ogromnie ważna, że bez niej nie można by mówić o utrwaleniu zdobyczy konferencji genewskiej. Pamiętajmy, że lata „zimnej wojny" wykopały ogromną przepaść między narodami, pamiętajmy o ogromnej nieufności, a nawet wrogości, jaka narosła między narodami i ludźmi. Przywrócenie zaufania między szefami wielkich mocarstw, nawrót do wzajemnego rozumienia się i współpracy wymaga przywrócenia tej samej postawy w opinii publicznej krajów o różnych ustrojach. Jeśli dzisiejsza ASP donosi, iż w kołach Waszyngtonu ocenia się, że „konferencja genewska osiągnęła swój cel: położyła kres zimnej wojnie i ustaliła procedurę, która musi być zastosowana w ciągu najbliższych miesięcy, by usunąć przyczyny napięcia i zapewnić pokojowe współistnienie między Wschodem i Zachodem" — to powiedzmy sobie szczerze, że tego rodzaju oświadczenie amerykańskich kół politycznych byłoby nie do pomyślenia bez przełomu psychologicznego w Genewie.

Na marginesie konferencji interesującym jest dla nas fakt, że ten przełom w nastrojach zachodzi również i w kołach emigracji polskiej. Cały przebieg konferencji był ostatecznym końcem złudzeń żywionych przez wąskie grupki skłóconych polityków emigracyjnych z Londynu, Paryża i New Yorku. Wśród rozsądnych emigrantów rodzi się potrzeba szukania kontaktów z Polską. Musimy pomóc tym ludziom odnaleźć drogę do Ojczyzny. Powstały warunki, które oddalają zawodowych politykierów od mas emigracyjnych i uchodźczych. Wielu z nich dawno zresztą izolowało się od jakichkolwiek spraw polskich. Przed paroma dniami, gdy rzecznik rządu amerykańskiego podkreślił na konferencji prasowej wzajemne zrozumienie cechujące jej uczestników, powiedziałem redaktorowi „polskiej" audycji „Wolnej Europy" z Monachium: „Coś mi się zdaje, że pańska posada jest zagrożona. Im większe odprężenie, tym mniej miejsca na wasze radio". — „Niewykluczone — odpowiedział — ale nie będzie ta posada, to będzie inna". Rzecz jasna, że tacy „ideolodzy" znajdują w nowej sytuacji coraz mniej słuchaczy wśród emigrantów.

TRZEBA STRZEC NOWEJ ATMOSFERY

NIE trzeba podkreślać, jak wielkie znaczenie będzie miała październikowa konferencja ministrów spraw zagranicznych w Genewie, która ma wyciągnąć konkretne wnioski z tego, czego tu teraz dokonano. Trzeba uczynić wielki wysiłek, by konferencji tej towarzyszyły jeszcze lepsze warunki niż obecnie. Nie można bowiem mieć wątpliwości, że siły dążące do nawrotu „zimnej wojny" będą nadal jak najbardziej aktywne. Dały one, bezskutecznie zresztą, znać o sobie i w czasie spotkania szefów rządów. Lepiej nie wracać do tych nieudanych manifestacji ducha wojny psychologicznej. Ale nie wolno się łudzić, że w chwili gdy senat włoski owacyjnie wita deklarację genewską, a Eisenhower odbywa triumfalny wjazd do Waszyngtonu pogłębiając tym samym przewrót w nastrojach opinii Stanów Zjednoczonych, siły przeciwne pokojowi pozostaną bezczynne. Na pewno „China Lobby" i wszystkie te ośrodki, które montowały napięcie, nie mogą patrzeć spokojnie, jak fala wydarzeń odwraca się w drugą stronę.

Przed wszystkimi narodami, a szczególnie przed tymi, których dotychczasowa sytuacja silnie angażowała w psychiczny stan „zimnej wojny" stanęły nowe trudne zadania. Odjeżdżając z Genewy premier Bułganin słusznie powiedział: „dużo pracy czeka nas jeszcze, ale trzeba, by to, co już zostało dokonane w Genewie, otworzyło nowy etap w stosunkach między czterema mocarstwami i nie tylko między nimi". Wszystkie kraje, małe czy duże, muszą zdobyć się na maksymalny wysiłek lepszego zrozumienia się wzajemnego i współpracy. Wzajemne zaufanie do siebie narodów o różnych ustrojach, które będą poznawać się coraz lepiej, nabierać do siebie szacunku i uczyć się jedne od drugich, jest najlepszym sposobem zabezpieczenia osiągnięć porozumienia przed sabotażem ze strony niepoprawnych awanturników.

Dominik Horodyński

RADOSNE

osobowa grupa. A jak będzie na szóstym? Za wcześnie o tym mówić.

Chętnie natomiast wspominałoby się cztery poprzednie festiwale. Rosło ich znaczenie, zasięg i ważność, rośnie ich ogrom i atrakcyjność. Dwa pierwsze były niejako próbne, cichsze, inauguracyjne. Berliński już wyrósł na światową imprezę. Bukareszteński stał się największą zabawą i największą manifestacją pokojową młodzieży całego świata. Warszawski zapowiada pobicie rekordu festiwalowości. A i ten rekord żyć będzie chyba tylko dwa lata...

Całe księgi można by o tym pisać. Otóż to! Z tymi księgami jest nie najlepiej. Historia festiwalów zasługuje na utrwalenie. Zdawałoby się, że to sprawa bezspornie godna literatury. Godna uwiecznienia. A tymczasem przedstawia się raczej kiepsko.

Nie wiem, jak jest w innych krajach, ale sądzę, że niewiele lepiej niż u nas. A u nas — raczej blado! Gdy próbowałem (wierny nawykom polonistycznym i posłuszny ciągotom krytyka literackiego) sporządzić na swój użytek tzw. spis literatury przedmiotu, wypadł on bardzo ubożuchno. Oczywiście, nie ręczę za ścisłość bibliograficzną (nigdy niestety nie zaraziłem się skrupulatnym rozsądkiem benedyktyńskiego fiszkarstwa), ale chyba nie wiele przesadzę, jeśli powiem, że pozycje te policzyć się dadzą na palcach niemal jednej ręki. O festiwalu praskim i budapeszteńskim nie ma bodaj że ani jednej książki. Najlepiej chyba „obsłużono" festiwal berliński.

Może by na wszelki wypadek sprawozdawca nr 138 zgłosił do kierownictwa festiwalu wniosek o stworzenie księgi historycznej festiwalów, lub przynajmniej wielkiej księgi festiwalu warszawskiego? E, chyba już o tym pomyślano. Byle nie zapomniano o realizacji...

A możeby tak — pro domo sua — katolicy biorący udział w festiwalu jako delegaci spróbowali przy pomocy sprawozdawców stworzyć pamiętnik warszawskiego spotkania młodości? I to byłoby dobre.

Złóżmy jednak te sugestie do skrzynki projektów, a sami zajmijmy się — częściową choćby ich realizacją reporterską. To znaczy: przymierzem z faktami. Chciałoby się w tym miejscu pogawędzić trochę o sportowych igrzyskach, ale właśnie Zosia każe mi podziwiać strój festiwalowy, a właściwie śliczne pantofle, bo resztę odbiera zdaje się jutro. Więc chyba odłożę na później dalszy ciąg notatek...

80 LIPCA

Oj, oj-oj-oj! mnóstwo za bardzo być nie tak jak powinno być. Mam coraz większą tremę przed egzaminem organizacyjnym, jakim jest dla nas festiwal. Byłem dzisiaj znowu w Ośrodku Prasowym. To już nie tylko wieża Babel, ale trochę i organizacyjna Sodoma. Zagraniczni delegaci koczują na walizkach w westibulu! Bardzo mi się zrobiło ich żal. Na szczęście nie długo to chyba trwało, ale zawsze, gdy przypomnę sobie, jak nas troskliwie przyjmowano w Berlinie, jak niemal wprost z dworca prowadzono do łazienki, a potem do stołu — to trochę jestem zaniepokojony. No, jeszcze cały festiwal przed nami. Wiele można odrobić i nadrobić. Może i z punktualnością będzie lepiej. Bo konferencja prasowa, zapowiedziana na 18.30, zaczęła się z opóźnieniem prawie godzinnym, tzn. dopiero o 19.20. Przemówienia Bruno Berniniego (mówionego po francusku) nikt nie tłumaczył. O słuchawkowej metodzie równoległych przekładów zapomniano. Dyskusja toczyła się w ten sposób, że po kolei wstawało czterech tłumaczy i w języku niemieckim, rosyjskim, francuskim, angielskim i polskim, powtarzało pytanie, a potem znowu po kolei tłumaczyło odpowiedź. Jakoś poszło, ale najlepszym usprawnieniem toku obrad na pewno ta metoda nie była.

Powiedzmy sobie szczerze: i sama dyskusja nie była najciekawsza. Pytania raczej przypadkowe, czuć, że jeszcze nie wszyscy się rozkręcili. Oczywiście, oprócz łowców autografów. Ci szaleją. Najbiedniejsi są — jak zawsze — egzotyczni goście. Nawet chińska uprzejmość ma tu swoje granice i spoceni skośnoocy chłopcy pokazują z uśmiechem, że skurcz już ich chwyta za palce. Nie tylko zresztą kolorowi stanowią atrakcję dla łowców autografów. Ponoć współpracownika „Dziś i Jutro" Konrada Eberhardta również molestowano o autografy. Nie odmówił, ale gdy mu tłumaczyłem, że to ze względu na jego popularność publicystyczną, jakoś jednak nie uwierzył. Ja z uwagi na niebezpiecznie kraciastą i kolorową koszulę, chociaż przed wszelkimi podejrzeniami o cudzoziemskość broni mnie arcykościuszkowski nos, także byłem bacznie obserwowany przez jakąś grupkę łowców. Chyżo umknąłem. Wiem, że zemsta rozczarowanego ludu w takich wypadkach miażdży ciężarem ironii.

Oprócz łowców autografów sporą dozę inicjatywy wykazują młode warszawianki. Inicjatywa ta, tracąca już w przeddzień festiwalu charakter inicjatywy prywatnej, nacechowana jest dużą dozą intymności jak i przytulaskowej solidarności między narodami. W tych zbliżeniach międzynarodowych tylko jeden warunek gra podstawową rolę: odmienność płci.

Gdy wracałem z rojnej ulicy do pustawego domu (bo Zosia już w swej festiwalowej kreacji wyemigrowała na Młynarską) nie było we mnie skłonności do katońskich ocen rozflirtowanych warszawianek, oczywiście — zastrzegałem się — byleby zachowały to, czego brak psuje każdy miły flirt czy koleżeńską zabawę.

Gdy już przywędrowałem do domu, zastałem w skrzynce list. List z Niemiec Zachodnich. Od starego, dobrego człowieka, który był kilka dni temu w Polsce z większą wycieczką, goszczoną przez Polski Komitet Obrońców Pokoju. Zaprzyjaźniliśmy się. Opowiadał mi o swoim synu, który właśnie zrobił maturę. Musi iść do wojska. A nie chce. Więc — chcą go brać do więzienia. List zawiera pozdrowienia dla naszego festiwalu. I wiadomość, że syn chyba będzie musiał uciekać i przed wojskiem, i przed więzieniem.

Pożałowało mi się nagle, że nie ma wśród zgromadzonej w Warszawie młodzieży tego chłopca, o którym opowiadał mi stary i siwy człowiek, walczący w Niemczech Zachodnich przeciw wojnie i walczący samotnie jako katolik przeciwko nadużywaniu mistyfikacji religijnej do agresywnych celów politycznych. Pożałowało mi się też sympatycznego Jarry'ego z Ameryki, o którym opowiadał mi po swoim powrocie z Kanady, Nik, i o którym opowie w reportażu czytelnikom „Dziś i Jutro". Warto i o nich pomyśleć, i o nich pamiętać, aby pełniej przeżywać radość naszych spotkań i... niedosyt spotkań.

d. c. n.

Rosaura Revueltas (Esperanza) w filmie „Sól ziemi"

Bohater filmowy naszych czasów

(przed seminarium festiwalowym)

„Człowiek zawsze był i zawsze będzie najciekawszym obiektem dla człowieka, a dramat opisuje człowieka w jego odwiecznej walce z samym sobą i z przeznaczeniem w jego wiecznym działaniu, którego motorem jest walka o jakiś mglisty ideał szczęścia, rzadko dostrzegany, a jeszcze rzadziej osiągnięty. Musimy wywnioskować więc, że dramat jeśli nie jest nawet najlepszym rodzajem poezji, to jest najbliższym naszych serc".

BIELIŃSKI pisał wprawdzie te słowa z myślą o teatrze, ale czyż mechanizm oddziaływania dramatu filmowego nie jest identyczny? Gdzież jeśli nie do kina idzie w pierwszym rzędzie dzisiejszy człowiek, aby wespół z bohaterami przeżywać klęski i zwycięstwo!

Sprawa bohatera filmowego jest tym węzłowym punktem, w którym skupiają się dziś wszystkie problemy sztuki filmowej. Bohater — to innymi słowy człowiek, a więc sprawa bohatera — to sprawa człowieka w filmie i humanistycznych wartości sztuki. Nic więc dziwnego, że właśnie sprawa bohatera w filmie staje się tematem seminarium filmowego zorganizowanego w dniach V Festiwalu. Spotkanie to jest okazją do wymiany poglądów, która pomoże młodym filmowcom w ich zawodowej pracy, przyczyni się do dalszego doskonalenia metod warsztatu filmowego, a tym samym do spełnienia podstawowych zadań sztuki.

Już pół wieku trwa nieustanny wpływ kina na kształtowanie obyczajów i psychiki ludzi. Ledwie pojawił się migotliwy cień człowieka — a już ludzie żyli jego przeżyciami, niemymi cierpieniami i radościami. Pokazując na ekranie coraz prawdziwsze postacie, film zaczął coraz bardziej przemawiać do publiczności, a dzięki ładunkowi ludzkich przeżyć, myśli i uczuć — widowisko nabrało artystycznych cech. I ani żeśmy się obejrzeli, że dzięki kinu inaczej żyjemy, że inaczej widzimy, czujemy i reagujemy. „Film jest zdolny ukazać wszystko — pisze K. Wyka — i — co najważniejsze — ukazać w następstwie, które w życiu rzeczywistym i w dotychczas istniejących sztukach było człowiekowi niedostępne. Z wnętrza kropli wody ujrzanej przez mikroskop w mgnienie oka przeniesie w świat widziany z nurkującego samolotu. Skomplikowaną, podaną w nadnaturalnym wymiarze grę ludzkiej twarzy luzuje odwróconym wybuchem skał, w którym nagle kłębowisko dymów zrasta się w kamienny masyw. Bieg człowieka ukaże spod jego stóp, a lot ptaka z jego lotu. Panuje w nim niepokój i zmienność jeszcze dobitniejsza aniżeli w powieści, przemawiająca bowiem wprost do oczu, bez jakichkolwiek filtrów intelektualnych. Powieść uczyła pewnej dostępnej i oczywistej wiedzy o świecie. Film uczy niemniej oczywistego, a bardziej fascynującego oglądania świata. Wiemy na pewno, że trawa rośnie, ale jak to wygląda, że trawa rośnie, on nam pokazuje".

MIJAŁY lata, a z nimi kilometry filmowej taśmy przesuwały się przez ekran. Wśród jej wielobarwnych zwojów rodzili się bohaterowie, zdobywali popularność i niknęli w cieniu zapomnienia. Każdy kraj i każda epoka filmowa stworzyły odmienne typy bohaterów. Byli wesołkowie, nieustraszeni bohaterowie, wąsaci brutale, wypomadowani uwodziciele, kuszące femmes fatales, pokorne pierwsze naiwne. Ale pamięć o tych gasła razem ze światłem projekcyjnych lamp. Niewielu było, do których publiczność się przywiązywała, domagała się ich powrotu, czekała na nich całymi latami. W historii kina jest tylko jeden niepospolity wypadek nieśmiertelności bohatera. Tylko jeden uniwersalny Charlot, Charlie Chaplin zdobył sobie nieśmiertelność i położył most porozumienia między ekranem i publicznością.

Oczywiście, jest i wielu takich — zwłaszcza z okresu dźwiękowego kina — których pamiętamy często wprawdzie bez nazwisk, ale których imię stało się pewnym symbolem narodowych pierwiastków, miernikiem określającym całe kraje, cechy ludzi i narodów. Albert i Pola czy Jean i Anna — bohaterowie Claira, — będą zawsze przypominać nam Paryż, Czapajew i Maksym — to ludzie Wielkiej Rewolucji, Mr. Deeds z filmów Capry — to mieszkaniec amerykańskiego miasteczka, kamienna twarz Jean Gabina — z filmów Renoira i Carnego — będzie kojarzyła się z robotnikiem francuskim, Henry Fonda — będzie zrujnowanym farmerem amerykańskim nie tylko z „Gron gniewu".

Galerię tych postaci, z których z niejedną zawarliśmy bliższą znajomość i z nimi zwiedzamy świat czy wzbogacamy naszą wiedzę o życiu, uzupełniły znacznie ostatnie lata rozwoju kina. Aleksander Matrosow ze śnieżnych połaci w Kraju Rad, marynarze z amerykańskiego „konwoju", kolejarze z „Bitwy o szyny", tłumaczka Marta z „Ostatniego etapu", bohaterski ksiądz z „Rzym miasto otwarte", dzieci z „Gdzieś w Europie" i „Paisy" — to bohaterowie ostatniej wojny.

DLACZEGO właśnie ci szarzy, często bezimienni ludzie zostali bohaterami wojny? Czyżby osiągnięcia wodzów i generałów zastrzeżone były tylko dla historii? Czy rzeczywiście zniknęli oni z teatru wojny? Myślę, że tylko dlatego, że generałowie i wodzowie przestali być kulturalnym ośrodkiem naszych zainteresowań. My sami poczuliśmy się bohaterami wojny, którzy niosą na barkach cały ciężar gigantycznych zmagań. Może właśnie ta świadomość sprawiła, że po wojnie we wszystkich niemal zakątkach produkcji filmowych popłynęły ożywcze nurty popularystycznej twórczości.

We Włoszech — przybytku patrycjuszowskiej dumy i faszystowskiej buńczuczności — postać bohatera z ulicy ukoronowana została najwybitniejszymi osiągnięciami sztuki filmowej ostatnich lat; w dalekiej Japonii codzienne kłopoty zwykłych mieszkańców z powodzeniem wypierają rodowe legendy samurajskie; Indie przestały być sielankowym obrazkiem rytualnych obrzędów; Ameryka nie jest przybytkiem tylko gangsterów, milionerów i długonogich girls.

Teraz dopiero możemy ocenić jak wiele racji miał Charlie-Dyktator mówiąc z ekranów premierowych Nowego Jorku jesienią 1940 r. „Chcemy żyć naszym wzajemnym szczęściem, a nie dla wzajemnego nieszczęścia. Na tym świecie dość jest miejsca dla każdego. Droga życia może być wolna i wspaniała, ale zgubiliśmy tę drogę... Nie traćcie jednak nadziei. Nienawiść przeminie i dyktatorzy zginą, a władza, którą sobie przywłaszczyli, powróci do ludzi".

Zavattini, jeden z tych wybitnych twórców naszego stulecia, który za artystyczną formę swej wypowiedzi obrał scenariusz, tak pisze: „Jestem przeciwko „wyjątkowym" postaciom. Przyszedł czas na to, by pokazać widzowi, że jestem prawdziwym bohaterem życia. Częsty zwyczaj identyfikowania siebie z fikcyjnymi postaciami staje się bardzo niebezpieczny. Musimy się identyfikować z tym, kim jesteśmy". „Neorealizm to nie tylko sprawa stworzenia filmu, w którym widz rozumie społeczne sytuacje. Ludzie lepiej rozumieją siebie, aniżeli machinę socjalną i kiedy widzą siebie na ekranie, kiedy pokazuje się ich codzienne czynności — nie odczuwają tego bezpośrednio, czują się tak jakby słyszeli swój głos przez radio — a przez to właśnie pomagamy im poznać rzeczy codzienne, usuwamy ich brak znajomości życia".

Realizatorzy włoscy od lat wcielają te teoretyczne sformułowania z filmową praktyką. „Złodzieje rowerów", „Ziemia drży", „Umberto D" — oto milowe kamienie tej drogi bohaterstwa ludzi włoskiej ulicy. Jakże często wychodziliśmy z kina po słowie „koniec" wraz z bohaterami filmu. Ich życie nie zgasło w mroku sali. Rozgrywaliśmy je dalej w swoich myślach. Nie były to myśli, jakie towarzyszą nam w chwilach marzeń przedsennych. Bohaterowie ci nie realizowali pragnień o majątku, uczuciach i urodzie. Intrygowało nas co będzie z robotnikiem Antonio jutro, pojutrze, za rok. Pozornie negatywny bohater „Człowiek bez jutra" wychodzi wraz z nami poza mrok sali — by zmienić się, szukać nadziei, jak my często w bezgwiezdną noc.

„Antoni i Antonina" — to kawałek perypetii każdego młodego małżeństwa, a losy bohaterów „Dni miłości" podobne są wielu narzeczeńskim parom borykającym się z trudnościami materialnymi. „Jednak żyjemy" — mogą sobie powiedzieć bohaterowie tego japońskiego filmu, a gorzki smak „Soli ziemi" jest nie obcy nie tylko amerykańskiej rodzinie. My już mamy nie tylko „Godziny nadziei"; nasi radzieccy sąsiedzi w oparciu o sformułowania przywódców partii o typowości — zwycięsko biorą się za bary z papierowymi i lakierowanymi figurkami bohaterów dzisiejszych dni.

CIEKAWE jest, że w tej całej galerii współczesnych bohaterów — prostych ludzi — tak mało jest kobiet. Czyżby kobieta nie mogła być pozytywnym bohaterem? Jest co prawda bardzo trudnego w stworzeniu pełnokrwistej postaci bohaterki, skoro europejska kinematografia o starych tradycjach artystycznych nie zdołała jej stworzyć. Jest wprawdzie wspaniała postać matki z „Najpiękniejszej", ale nie jest ona równoznaczna z postacią Esperanzy z „Soli ziemi" czy nauczycielki Takako Ishikawa z „Dzieci Hiroszimy". Azja i Ameryka zdystansowały Europejczyków pod tym względem.

Pozytywny bohater to taki, w którego musimy wierzyć. I dlatego nie może on posiadać nadludzkich cech. Nie może być wyniosły, bo nie nawiąże kontaktu z widzem. Wierząc w bohatera musimy go polubić, a wreszcie naśladować go. O taki właśnie typ bohatera musi walczyć dziś kinematografia całego świata i hasło takiego bohatera wpisali już na swoje sztandary wszyscy postępowi twórcy. Że bohaterów takich jest jeszcze mało, to wiemy. I dlatego młodzi twórcy zbierają się i dyskutują, ażeby wychodząc od ogólnych przesłanek — pogłębić swoją metodę pracy artystycznej i warsztat, ażeby należycie wcielać te założenia w konkretyzację i scenariuszową, i reżyserską, i aktorską. Cezare Zavattini w swoim liście otwartym do uczestników filmowego spotkania festiwalowego proponuje zastanowić się nad wpływem, jaki wywarł neorealizm na poszczególne narodowe kinematografie. W filmie bowiem wymiana doświadczeń artystycznych różnych krajów jest dźwignią postępu i doskonalenia form. Trzeba się młodym twórcom zastanowić, jak z narodowych pierwiastków poszczególnych szkół i wpływów innych wyrasta postać współczesnego bohatera filmowego, i posiadając specyficzne cechy danego narodu jest jednocześnie wcieleniem tych wszystkich myśli i pragnień, jakie żywi cała ludzkość. Zola marzył kiedyś o wystawie malarskiej, w której jeden temat napisany byłby w przeróżnych barwach, których odczytywanie nie przyniosłoby mu nigdy znużenia. Film, być może, jest tą uniwersalną wystawą, gdzie idea przyjaźni i pokoju wpisana jest w języku zrozumiałym dla wszystkich. Gdy bohaterowie niezależnie od swych imion i nazwisk są symbolami tego co ludziom najbliższe. Niezależnie, czy to jest stary clown z ostatniego filmu Chaplina, czy Fanfan-Tulipan, który głosi bezsens wojny lepiej od niejednego współczesnego bohatera, czy mały rybak Frolco z „Białej grzywy", który uchronił swoje nieskalane człowieczeństwo, czy ktoś z członków rodziny radzieckich stoczniowców.

Zresztą, jeśli my sami będziemy bohaterami sztuki filmowej naszego stulecia — czyż trudno będzie nam odczytać z ekranu własne przeżycia i myśli?

O tym muszą pamiętać młodzi filmowcy w dniach swoich obrad.

Andrzej Odolański

---

wspaniałomyślność i dobroć. W przeciwnym razie nie mogłaby się rozwinąć i nie mogłaby dać tego, co dać winna: twórczej, odważnej myśli, która nigdy nie może zakwitnąć w atmosferze półwolności lub niewoli, trwożliwego protekcjonizmu w łonie Kościoła".

OBSZERNA rozprawa prof. Alfonsa Klafkowskiego „Uprawnienia Polski w Wolnym Mieście Gdańsku w latach 1918—1939 jako zagadnienie prawa międzynarodowego" zainteresuje przede wszystkim prawników chociaż nie tylko ich. Autor przeprowadza analizę wszystkich ważniejszych aktów prawnopolitycznych i prawno-gospodarczych dotyczących stosunku Gdańska do Polski i Niemiec. Wykazuje systematyczne ograniczanie uprawnień Polski, wskazuje na wewnętrzno-krajowe i zagraniczne ośrodki, które spowodowały ten proces.

ZPRAWDZIWYM zadowoleniem sięgnie czytelnik do obszernej pracy prof. Stefanii Skwarczyńskiej „Spór o Mickiewicza — katolika". Frapujący temat, piękny język, nuta polemiczna (jakże bardzo brakuje tej nuty współczesnej publicystyce katolickiej w Polsce!) i oczywiście solidność podstaw naukowych oto zalety rozprawy.

Spójrzmy jednak w treść. Spór dotyczy związku Mickiewicza z katolicyzmem w tzw. okresie rzymskim i wpływ tego związku na twórczość poety. Tradycyjna teza o katolickim charakterze religijności Mickiewicza we wspomnianym okresie zaatakowana została przez mickiewiczologię marksistowską, w szczególności przez Wacława Kubackiego i Stefana Zółkiewskiego. Autorzy ci — jak pisze Skwarczyńska — w intencji „wybielenia Mickiewicza w oczach ateisty z zarzutu „religianctwa" sformułowali dowolną interpretację niektórych utworów Mickiewicza a nawet jego osobistych wypowiedzi, niektóre pominęli zupełnym milczeniem próbując w ten sposób przenieść głęboko katolickie chociaż fideistyczne (typowe dla XIX w.) przeżycia Mickiewicza na płaszczyznę egzaltacji i estetyzmu. W oparciu o źródłowe teksty i analizę prądów myślowych tamtych czasów oraz wpływ takich ludzi jak: ks. Cholonieiwski, ks. Lamennais, Oleszkiewicz, przedstawia autorka kształtowanie się profilu duchowego Mickiewicza dowodząc słuszności sądów tradycyjnych. Sądy te poszerza Skwarczyńska o wykazanie harmonii między wyznawanym przez poetę światopoglądem katolickim a jego postępową postawą społeczną wyrażającą się w specyficznym, religijnym i utopijnym socjalizmie.

Pomijając szczegółową analizę — cytujemy tutaj niektóre ogólne końcowe sformułowania: „Mickiewicz w obchodzącym nas okresie — w okresie szczytowym swojej twórczości — był katolikiem z przekonania, jawnie się przyznającym do swego katolicyzmu i dążącym do dania mu wyrazu w życiu wewnętrznym i w działalności społecznej. Był katolikiem mimo błędów osobistego życia, mimo specyficznego nalotu fideistycznego w swojej religijności — nalotu fideistycznego, zdecydowanego przez epokę i jeszcze wówczas nie skorygowanego autorytatywnie przez Kościół. Forma jego postawy religijnej, forma jego wewnętrznego życia religijnego ulegała w toku tych lat przemianom i modyfikacjom, dwoiła się w swych aspektach, na co wpływały zewnętrzne okoliczności jego życia, odbijające się silnie w jego życiu wewnętrznym na jego religijnie pojętym wówczas poczuciu odpowiedzialności za udział w życiu, za postępowanie i postawę".

„Sądzimy, że pietyzm dla genialnego poety i wielkiego człowieka wymaga szacunku dla jego słów. A przytoczone w nich stwierdzenia mówią jasno, że Mickiewicz w tym czasie staje się katolikiem z przekonania i postawy, że uważa się za katolika z pełną wolą prawowierności wobec Kościoła, którego nauki nie uważa za sprzeczną z orientacją postępową w sprawach społecznych, politycznych, narodowych, przy czym nie identyfikuje postawy katolickiej ze ślepą aprobatą rozstrzygnięć politycznych Kościoła. Obiektywnie nic w omawianym okresie nie świadczy przeciw prawowierności".

„Wobec tego przeciwstawiamy się jasno i wyraźnie stanowisku, które wobec spraw katolicyzmu w tym okresie Mickiewicza zajęli W. Kubacki i S. Zółkiewski (...). O ile niewątpliwie zadaniem nauki jest obalanie legend i mitów — to równie niewątpliwie nie jest jej zadaniem tworzenie w miejsce dawnych mitów — mitów nowych. Mitem w świetle wiarogodnych źródeł, jakimi są oświadczenia Mickiewicza — jest Mickiewicz — ateista, Mickiewicz — a-katolik. Mickiewicz obcy w tym czasie lub wrogi katolicyzmowi".

OBRACHUNKI własne odchodzących klas społecznych nie należały nigdy do spraw przyjemnych. Współczesna literatura burżuazyjna ma takich obrachunków wiele. Dzieła te będące wykwintem dorobku całej epoki cywilizacyjnej straszą pesymizmem, bezradnością. Aleksander Rogalski w swoim eseju „Zwierciadło dekadencji" podjął próbę analizy dekandencji burżuazyjnej odzwierciedlonej w wybranych przez niego reprezentatywnych dziełach Tomasza Manna, Johna Galsworthy'ego i Rogera Martina du Garda.

Jakkolwiek niektóre tezy zawarte w artykule nie zostały sformułowane po raz pierwszy, to jednak, dzięki analizie porównawczej trzech dzieł, artykuł zaciekawia i wnosi dodatkowe punkty widzenia tej problemtyki. Analizując powieści wspomnianych autorów Rogalski zauważa w nich pojawienie się tych samych elementów (książki omawiane napisane są przez przedstawicieli trzech narodów: niemieckiego, angielskiego i francuskiego). Wszyscy oni atakują ustrój kapitalistyczny i cywilizację burżuazyjną. Wychodząc jednak z pozycji klasowych burżuazyjnych nie potrafią znaleźć pozytywnego rozwiązania krytykowanych instytucji. Na tle braku perspektyw rodzą się różne katastroficzne i dekadenckie teorie. Rogalski pisze:

„Akcentami pesymizmu kończą się też pozostałe dzieła, które tu omawialiśmy. Ani Martin du Gard, ani John Galsworthy nie ukazali żadnych perspektyw światu, który stał się przedmiotem ich epickich obrazów i analiz, i który zarazem jest ich własnym światem. Żegnając się z swymi postaciami pisarze ci wkraczają na obszary filozofii relatywistycznej, sceptycznej, nihilistycznej, bądź też jakiegoś witalistycznego irracjonalizmu, by się w jego otchłani całkowicie zagubić i roztopić".

Jeden z bohaterów Galsworthy'ego snuje takie oto sentencje: „Ciężko jest czasem pamiętać, że całe życie to komedia, ale w końcu dochodzi się do tego. — Świat pełen ironii. Tak! Dziwnie ironiczny świat, w którym kształt przetapiał się w kształt, nastrój przechodził w nastrój, tony przenikały się wzajem i nic nie było trwałego, może tylko światło gwiazd i ów instynkt wrodzony wszystkim istotom żyjącym, który nakazywał: Krocz dalej!" „Jest to maksimum — pisze Rogalski — na co stać w zakresie filozofii życiowej wielkiej miary artystę burżuazyjnego. Jest to oczywiście recepta dla ludzi nieuleczalnie chorych, dla społeczeństw znajdujących się w dekadencji i agonii". Trudno nie zgodzić się z wnioskami Rogalskiego.

CZĘŚĆ artykułowa „Życia i Myśli" kończy się reportażem Andrzeja Łepkowskiego pt. „Odwiedziłem wskrzeszone kościoły". Reportaż dzięki żywej relacji ze zwiedzonych odbudowujących się kościołów daje obraz straszliwych zniszczeń, jakim uległy świątynie polskie w czasie ostatniej wojny światowej i olbrzymich wysiłków włożonych przez duchowieństwo, parafian i państwo w odbudowę tych kościołów. Ozdobą artykułu i całego zeszytu są ilustracje wykonane przez autora.

DRUGA część zeszytu — dział recenzyjny zawiera kilka ciekawych pozycji, których ze względu na szczupłość miejsca nie omówimy tutaj. Warto szczególnie zwrócić uwagę na pracę (przekracza ona formę recenzji) Juliusza Domańskiego „Humanizm chrześcijański w historii literatury greckiej", która na marginesie książki „Literatura grecka za cesarstwa rzymskiego" Tadeusza Sinki omawia zagadnienie recepcji pogańskiej kultury greckiej (i w ogóle antycznej) przez starożytne chrześcijaństwo, stawiając w tym zakresie szereg nowych poglądów.

(zyg)

PAWEŁ NAGAI

ŻYCIE JEST MOCNIEJSZE*)

*DR Nagai **), naoczny świadek i ofiara atomowego napadu na Nagasaki, pisząc swe przedśmiertne zeznanie nie był w żadnej mierze zainteresowany w niedokładnym przedstawianiu tamtych okrutnych wydarzeń. Co zatem sprawia, że książkę, w której pokazano nam dno ludzkiego cierpienia, odkładamy z poczuciem siły i nadziei?*

Smutek, towarzyszący odbiorowi tej lektury, przypomina raczej żal po stracie kogoś bardzo nam drogiego, niż niekontrolowaną rozpacz wobec dokonanego zbiorowego morderstwa. Nasuwa się więc pytanie, czy to przypadkiem wielki kunszt pisarski autora nie zaoszczędził nam spodziewanego doznania makabry?

Opis wrażeń doktora Si, patrzącego na skutki eksplozji, której rezultatem było 30.000 zabitych, 100.000 rannych i dziesiątki tysięcy osób dotkniętych chorobą wywołaną przez promieniotwórczość, jest w „Dzwonach Nagasaki" klasycznym przykładem rodzącym takie pytanie:

„Zdawało mu się — pisze dr Nagai — że znajduje się w domu, którego przedtem nigdy nie odwiedzał". — Zenit pisarskiego i to bardzo perwersyjnego wtajemniczenia czy też zawiniona naiwność? — pyta zdumiony czytelnik. Po przeczytaniu książki wie się jednak z całą pewnością, że ani jedno, ani drugie. Dr Nagai jest po prostu kronikarzem. To rzeczywistość, której jest podług swojej miary wierny, a nie jego należy „winić" że t a k było.

Zgoda, mówimy, ale każde pisanie, nawet kronikarstwo, jest wyborem, selekcją. I w tym mamy rację. Dr Nagai jest szczególnym kronikarzem — notuje niemal wyłącznie rzeczy ludzkie. A przecież była, bo być musiała, także i zwierzęca prawda Nagasaki. Przyjmując nawet wszystko, co wiemy o niezwykłej duchowej samodyscyplinie tamtej społeczności — mamy prawo oczekiwać od wiernego kronikarza — nie marginesowego wizerunku ludzi podległych choćby biologicznemu szokowi. Dlaczego dr Nagai przed tą powinnością się uchylił?

Myślę, że dopiero w tym miejscu dotykamy sedna problemu, wobec którego stawia nas lektura „Dzwonów Nagasaki". Wyznaczają go dwa czynniki: ci mieszkańcy zgładzonego miasta, których człowieczeństwo zostało sprawdzone przez doświadczenie ostateczne, i wzniosła osobowość autora kroniki.

Z obawy przed nazbyt pojemną, więc często ogólnikową terminologią zawahałem się użyć określenia „świętość".

W jego opowieści, w każdym razie, znajdziemy na to znacznie więcej dowodów niż faktów uprawniających do przyznania mu rangi artysty pióra.

Jeżeli, jak w cytowanym opisie wrażeń dra Si, zdarzają się w „Dzwonach Nagasaki" partie także literacko urzekające — to dzieje się to jakby mimochcąc, gdyż sąsiadują one z fragmentami, które w każdym innym wypadku uznalibyśmy za przewlekłe, a już z kompozycją — dr Nagai jest nienajlepiej. Skoro zatem pytamy o zasady kierujące doborem materiału do kroniki, które łącznie z treścią opisanych faktów tak jednoznacznie kształtują wyobraźnię czytelnika — musimy odrzucić posądzenie dra Nagai o pisarską wirtuozerię. I tak jest lepiej. I tak utwierdzamy się w przekonaniu, że obcujemy z dokumentem całkiem autentycznym. Zaświadcza go nawet owa literacka nieporadność dr Nagai.

A zasady selekcji przedstawianych zdarzeń? Otóż to, istnieją w sposób niezamierzony przez autora, a więc w sposób wykluczający świadomą tendencyjność. Są takie a nie inne, bo taki a nie inny jest dr Nagai. Sprawy, które przestają być ludzkimi, tylko dlatego nie zostały zapisane na równych prawach z faktami humanistycznymi, ponieważ ten autor n i e m ó g ł ich widzieć inaczej, jak tylko w migawce. Poza nimi notował wszystko po porządku niekrępowany na szczęście żadnym umownym kanonem. Właśnie po porządku. Poczynając od naleśników, na których „kradzieży" został przyłapany, a kończąc na studencie, który jeszcze wówczas, gdy mu się zaczynały palić stopy — śpiewał.

W ten sposób powstawał dokument niezbicie dowodzący, że w Nagasaki podczas atomowego napadu byli ludzie, którzy pozostawali ludźmi. I że te ludzkie reakcje były udziałem nie tylko jednostek, lecz i całych zbiorowości. Ani mniej, ani więcej z przekazu dra Nagai nie wolno nam wnioskować, ale czegóż więcej potrzeba dla zyskania pewności, że nawet w Nagasaki nie udał się zamach na człowieka.

Kim był świadek tak wyjątkowo predestynowany do przekazania nam czegoś więcej niż protestu, bo skutecznej broni moralnej do walki z psychozą atomową? Był chrześcijaninem. Jego katolicyzm zastanawiająco łączy w sobie elementy świadomości na wskroś współczesnego wyznawcy z reliktami wiary naiwnej, pobożności jedynie dlatego przekonującej, że jest udziałem neofity.

Przede wszystkim uderza w doktorze Nagai przeżywanie religii w kategoriach z założenia wykluczających posądzenie o egotyzm. Troska o pielęgnowanie własnej doskonałości jest ostatnim zajęciem, dla którego umiałby znaleźć czas. Jedynie istotna jest dla niego chwała Boża i na nią bezpośrednio, jako na cel nadrzędny wskazuje w swych rozważaniach o woli przyczynienia się do szczęścia pokolenia epoki atomowej.

Ofiarna służba ludziom stanowi dla dra Nagai podstawowy warunek zadośćczynienia przenikającym go racjom miłości doskonałej. W niej też kryje się źródło, zrywającego z żałosną spuścizną średniowiecza, szacunku dla ciała, tworu Bożego, a w jego konkretnym wypadku przydatnego narzędzia naukowych doświadczeń niosących pomoc bliźnim.

„Fakty oczywiste? — Być może — zeznaje dr Nagai — lecz nauczyłem się je rozpoznawać dopiero po ukończeniu uniwersytetu". Obcowanie z wiedzą było dla dra Nagai nie tylko progiem do przyjęcia wezwania Łaski, ono czyniło jego katolicyzm pełniejszym i skuteczniejszym. Ono także uwierzytelnia skierowaną do nas przez niego notę optymizmu zawierającą wizję nadchodzącej epoki.

I tutaj znowu spotykamy się z rzetelnie katolickim a jednocześnie prawdziwie postępowym sposobem patrzenia i oceny zjawisk: „Wiem — stwierdza dr Nagai — iż zarzuca się cywilizacji, że jest przeszkodą dla kultury duchowej. Lecz ci, co stawiają ten zarzut, nie ogarniają całego obrazu: właśnie cywilizacja techniczna stanowi niezbędną podstawę, na której może rozwijać się nadal z całą swobodą kultura duchowa".

Na tl tych i im podobnych uwag dużo niejasności może nastręczyć budzący intelektualny sprzeciw — stosunek dra Nagai do materializmu, szereg jego poglądów politycznych, a także przypuszczalny skutek społeczny, rozpatrywanej w oderwaniu od całokształtu jego opowieści, próby szukania również i mistycznego sensu zagłady dzielnicy Urakami.

Dr Nagai jest katolikiem i przysługuje mu pełne prawo do krytyki materializmu. Chodzi jednak o to, że jego niechęć, a nawet wrogość wobec całkiem konkretnego adresata, którym jest materializm mechanistyczny oraz po prostu hedonizm — identyfikuje się z oceną materializmu w ogóle.. Być może, dr Nagai nie zetknął się nigdy z materializmem dialektycznym, który jest formą humanizmu i również

**) Przedmowa do polskiego wydania „Dzwonów Nagasaki".

POPĘKANE STOPY

16 października skończyłem pracę na punkcie opatrunkowym w Miyama. Powróciłem, by zamieszkać wśród zgliszcz Urakami. Krewni mojej żony Midori zbudowali tam barak; poprosiłem ich o gościnność dla siebie i rodziny.

Mieściły się tam już dwie rodziny, razem pięć osób; nas — nowoprzybyłych — jest czworo. Dziewięcioro mieszkańców na przestrzeni trochę większej od jednego tsubo, czyli około czterech metrów kwadratowych. Do spania musieliśmy kłaść się na boku, ciasno jeden przy drugim w odwrotnym kierunku. Nieraz popękana stopa sąsiada uderzała mnie w policzek. Żywo uprzytomniłem sobie, jaka zażyłość łączy tych wszystkich, których śmierć oszczędziła.

DZIURY PO GWOŹDZIACH

Barak nasz zbudowany jest z belek, desek, starej blachy cynkowanej, klamer i gwoździ. Półtora metra wysoki i cudem ocalały mur kamienny został użyty jako główna ściana. Belki połączone są klamrami, a na wierzchu obito je blachą. Wszystko to — starzyzna pozbierana po różnych kątach, wzgardzona przez ogień. Stara, darowana nam kołdra służy jako dywan; mamy nawet drewniane drzwi.

Poważnym zagadnieniem jest sprawa oświetlenia: okien nie ma; wobec tego robi się ciemno, gdy zamykamy sławetne drzwi; gdy je otwieramy — jest jasno, ale bardzo zimno... Drzwi są po stronie wschodniej, „mur" — po zachodniej, blachy od północy i od południa.

Wszędzie trzeba było pozatykać dziury po starych gwoździach, czy to wbijając w nie kawałki drewna, czy też po prostu przykrywając je papierem. Mimo wszystko, podczas nocy księżycowych wygląda to cudownie: każda ścianka świeci wszystkimi swymi dziurami, jak niebo usiane gwiazdami.

ROZPALIĆ OGIEŃ

Pora deszczowa rozpoczyna się w listopadzie. Nasze ognisko znajduje się na razie na zewnątrz baraku, przy wejściu; ponieważ nie ma daszka, by je osłaniać — trudno bywa rozpalić ogień. Zapałki są nie do zdobycia. Gdy przypadkiem ogień zgaśnie — to prawdziwa tragedia; płaczę dosłownie. Te chłodne krople na mojej twarzy — to deszcz; lecz te gorące — na pewno — to są łzy moje.

Gdy siedzę tak — samotny, zmoknięty — z sąsiedniego baraku wybiega dziecko z płonącą żagwią w ręku. W chwilę potem trzaska już wesoło ogień. Moja córka Kayano klaszcze w ręce. Usłużna mała sąsiadka wraca pędem do siebie, chowając głowę w ramiona...

PAPROCIE

Bomba atomowa rozsiała wszędzie popiół, dachówki i spalone szczątki. Tam, gdzie były pola i stały domy — teraz leżała 15-centymetrowa warstwa gruzu. W rzeczywistości wybuch spowodował próżnię. Wessała ona wszystkie lekkie przedmioty, które uniosły się wysoko w górę, a następnie zostały wszędzie równomiernie rozrzucone...

W ten sposób pocztówka zaadresowana do mnie pofrunęła do ogrodu pewnego mego przyjaciela w Yagami, o 12 kilometrów stąd. Wywnioskował on przeto, że dom mój uległ zniszczeniu. Wniosek, zresztą, słuszny.

Teraz niezliczone paprocie zaczęły kiełkować w miejscu, gdzie stał mój dom; prawdopodobnie wiatr zachodni przyniósł nasiona z góry Inasa. Nasze wzgórze, ogołocone ze wszystkich budynków i opanowane przez paprocie, wyglądało jak dziewiczy las.

ZBOŻE

Również zboże zaczęło wszędzie kiełkować z ziaren przechowanych po domach. Wiele zapasów spaliło się, lecz niektóre nasiona ocalały i szybko rosną na żyznych szczątkach. W końcu listopada, nie potrzebując nawet siać, przesadziliśmy tylko młode źdźbła, które wyrosły już na 20-30 centymetrów. Myśleliśmy, że to zboże, co tak wcześnie wykiełkowało, również wcześnie dojrzeje, jednak kłosy ukazały się w normalnej porze, przy końcu wiosny. Były zresztą niewielkie, a zbiór okazał się skąpy. Przypuszczam, że fakt ten należy przypisać długotrwałej radioaktywności.

PORCELANA

Oko przyciągają rozsiane po spalonej ziemi skorupy talerzy i misek, na których błyszczy słońce. Jakże smutno rozpoznać w tych ułamkach cenną porcelanę z Imari z jej czerwonym na białym tle malowidłem. Siedem bóstw szczęścia namalowanych na bokach wazy z Kutani zostało rozbitych na dwie grupy — dwie i pięć postaci, mimo to nie przestawały uśmiechać się mężnie. Słynna brunatno - pomarańczowa barwa porcelany z Kakiemon nabrała odcienia suszonych daktyli, a pewna waza z Haży okryła się dziwaczną chropowatością. Siadam wśród popiołów; czas upływa, a ja zabawiam się pięknością tych zniszczonych skarbów. Ile szczątków — tyle wspomnień o wesołych zebraniach rodzinnych w przeszłości.

Długo poszukiwałem pewnej czarki do ryżu z Hasani, którą Midori szczególnie lubiła. Próżny wysiłek.

Gdybym nawet ją odnalazł, natychmiast zagrzebałbym głęboko w popiele.

POPIOŁY

Zaczynam oczyszczać mój dom z gruzu. Od strasznego dnia wybuchu kilkakrotnie padał deszcz i popiół stwardniał. Jest on bardzo różnorodny. Tam, gdzie stało moje biurko, znalazłem kupę popiołu, częściowo białego, częściowo czarnego. Czy to z powodu różnicy w jakości papieru? Czasami wśród czarnego popiołu widnieje kształt jakiejś stronicy. Dają się nawet odczytać urywki tekstu:

W głębokich dolinach wśród gór
Widzę liść bambusowy drżący
na wietrze
I obraz Twój staje w mojej
pamięci.

Gdy odczytuję ten stary poemat, porywa mi go raptowny wietrzyk; westchnienia wędrującego poety, które wysyłał do swej żony w dalekie strony rodzinne, rozsypują się tu i tam jak czarne płatki.

ODZNAKI

Wyłaniają się z popiołu medale, odznaki. Oto order Złotego Orła: utracił swój kształt i emalię, a mały orzełek złoty umieszczony u góry jest całkiem stopiony.

Do odwrotnej strony przylgnął order Świętego Skarbu: można rzec — dwóch rozbitków ocierających się o siebie, by się rozgrzać. Odznaka Wschodzącego Słońca ma tylko dziurę na miejscu słońca. Dwa medale wojskowe powróciły do stanu zwykłych sztabek metalu, jakby chciały podkreślić, że wszystko było tylko snem.

Order Złotego Orła został mi nadany, ponieważ udało mi się uratować pod gradem kul wielu rannych żołnierzy. Lecz zapytuję sam siebie czasami, czy nie ratowałem ich dla tego orderu raczej niż z miłości bliźniego.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zachowanie moje było niewłaściwe czy niemądre. Ale patrzę na siebie z politowaniem, gdy myślę, że tego rodzaju wyróżnienia mogły mi sprawić przyjemność.

KRUCYFIKS

Grzebiąc w popiele w północno-wschodniej części terenu, odnalazłem go wreszcie — ten krucyfiks z naszego rodzinnego ołtarza. Drewniany krzyż oczywiście spłonął w ogniu pożaru, lecz postać Chrystusa z brązu pozostała nietknięta, bez żadnego zniekształcenia ani zadraśnięcia. Cenna relikwia z czasów, kiedy członkowie rodu Tokugawa prześladowali chrześcijan.

Wszystkiego zostałem pozbawiony; odnalazłem jedynie ten krucyfiks.

KWIATY

Opierając się na kiju, dowlokłem się do rogu ogrodu warzywnego, prowadzony przez moją córkę Kayano. Naraz rozlega się okrzyk: — Kwiaty, patrz, kwiaty... Patrzę i widzę: wśród morza potłuczonych dachówek kwitnie samotna „morning glory". Mam ochotę uklęknąć przed tą lazurową wspaniałością — tuż, natychmiast, i jakby pomimo mojej woli dziękować Bogu za ten cudowny dar: pierwszy znak Jego dobroci wśród tych ponurych ruin.

A więc Bóg nie zapomniał o nas.

WIELKIE DRZEWO

Na tyłach naszego domu stało kiedyś olbrzymie cieniste drzewo. Jego gałęzie osłaniały prawie cały dom; mówiono, że liczy przeszło trzysta lat. Teraz pozostał z niego jedynie ogromny pień. Ułamane na wysokości pierwszego konaru, ukazuje swą białą ranę. Minęły dnie, minęły miesiące i dobroczynne dżdżyste noce. Lecz nigdy już wielkie drzewo nie wypuściło pączka.

Ale u stóp jego kwitnie „chwała poranka".

PIĘĆ GROSZY

Kiedy ogień pozbawił mnie domu, miałem w kieszeni mego munduru formacji biernej obrony pięciogroszową monetę... cały mój majątek. Udało mi się zdobyć pocztówkę, opisałem moje nieszczęście i powierzyłem kartkę (łącznie z pięcioma groszami na znaczek) pewnej pielęgniarce, która wracała w swoje rodzinne strony...

Po otrzymaniu ode mnie wieści, mój krewny, Otomi-sen, przysłał mi 100 yen. Cały majątek; prawie tyle, ile wynosiło moje miesięczne wynagrodzenie. Lecz niedługo potem oddałem te pieniądze polskiemu zakonnikowi powracającemu z obozu koncentracyjnego, aby je złożył na potrzeby swego klasztoru. W miesiąc później, gdy klasztor ów został szczęśliwie ponownie otwarty, przysłano mi stamtąd Pismo Święte i figurę Najświętszej Panny. Mając krucyfiks zawieszony na ścianie, niczego już więcej nie potrzebuję. A modląc się za moich dobroczyńców czuję się najbogatszym człowiekiem na świecie. Spodziewam się, że Pan Bóg zwróci dobremu Otomi-sen co najmniej milion yen.

APROWIZACJA

Pola zostały zniszczone, zasypane szczątkami; ale zmiażdżone owoce leżą wszędzie. Nie można dowiedzieć się, do kogo należą. Postanowiliśmy, że wszystko, co leży na naszym gruncie, stanowi naszą własność. Gdy już nie stało owoców — posadziliśmy kartofle; lecz liście ich niszczą jakieś wielkie, długie na trzy centymetry gąsienice, czarne w żółte prążki; rzekłbyś — spodnie żołnierskie z czasów wojny rosyjsko - japońskiej! Pożarły całą nać, a gdy dopomogła jeszcze radioaktywność — zbiór nie przekroczył 10 proc. normalnie otrzymywanej ilości.

Lecz nie umarliśmy z głodu. Zginęła bowiem prawie cała ludność i ta garść kartofli wystarczyła, aby wyżywić tych, co pozostali przy życiu.

UKARANA CHCIWOŚĆ

Tu i tam, na wzgórzach i w dolinach, wznoszą się baraki. Starzy ludzie mówią, że przypomina im to powrót z „Wielkiej Podróży". Określają oni w ten sposób banicję „Kiristansów" z Urakami na północ Japonii w początku ery Meiżi.

Powrócić można było dopiero po kilku latach; domy i pola stały opuszczone i z miejsca zabrakło żywności. Ale na moczarach pól ryżowych, nie oranych od tak dawna, wykryto całe ławice ślizów. Żywiono się więc tymi rybami i zabrano się do pracy. W braku motyk i łopat robiono w ziemi dziury za pomocą tyki bambusowej, by sadzić kartofle.

Tymczasem, ponieważ ilość ryb zdawała się być niewyczerpalna, troje ludzi postanowiło sprzedawać je do miasta... I odtąd — jak twierdzi legenda — ślizy zginęły!

Opowiadający nam o tym starcy nie omieszkają nigdy dodać: — Nie troszczcie się więc; Pan Bóg nakarmi was dziś, jutro i później. Lecz jeżeli dopuścicie, by w sercu waszym wzrastała chciwość, błogosławieństwo Jego zostanie cofnięte...

WIDMA

Ponieważ miejsce wybuchu bomby atomowej usypane jest kośćmi, byłoby dziwne, gdyby nie krążyły opowiadania o widmach. Ludzie utrzymują, że gdy się przechodzi nocą przez Urakami, słyszy się tłumione łkania kobiety. To wszystko nieprawda, Urakami — dzielnica chrześcijańska — nie hołduje takim przesądom; ale postanawiam przekonać się osobiście.

Rozpoczynam nocną wędrówkę poprzez spustoszoną okolicę. Obszar usiany ruinami stwarza w chłodnym, niebieskawym świetle zimowego księżyca atmosferę wymagającą wprost obecności widm. Lecz nie słyszę żadnego łkania!.. Posuwając się od kwartału do kwartału w dalszym ciągu prowadzę moje badanie.

Otwarta została jedna jedyna ścieżka; po jej bokach — pustkowie: ani jednego szałasu. Docieram do wysokości Szuku. Uderza mnie w twarz chłodny wiatr nocny od strony portu. Mimo woli trzęsę się. Naraz dolatuje mnie odgłos łkania. Słyszę wyraźnie „hiip, hiip". Zatrzymuję się. Od wschodu rozpościera się równina uniwersytecka, ta jej część, gdzie mieściły się przedtem sale dla sekcji zwłok. Po stronie zachodniej stoi uschnięte drzewo — w świetle księżyca wydaje się białe jak szkielet. Hiip! Słyszę łkanie tuż obok mnie, i dalej — jakby kilka kobiet szlochało razem. I dzieci również — zdawałoby się.

Tu mieściła się część mieszkalna uniwersytetu; asystenci i studenci gnieździli się pomiędzy straganami z tytoniem, znaczkami pocztowymi a sklepikami, gdzie w zimie sprzedawano pomarańcze, a latem konfitury. Przypominam sobie tę bladą dziewczynę, która bez uśmiechu trzykrotnie sprawdzała sprzedawane przez siebie pocztówki; i tego olbrzyma przez dzień cały tresującego psy owczarki; tę pannę, która spędzała dzień przy fortepianie; tego starego lekarza z jego drewnianymi trepkami, którego żaden niecierpiący zwłoki wypadek nie zmusiłby do przyśpieszenia kroku. Kości tych wszystkich ludzi leżą tu w świetle księżyca... Myślę o nich i to pogłębia tragizm sytuacji. Młoda dziewczyna musiała zginąć licząc swe pocztówki; olbrzym — osłaniając swe psy własnym ciałem. Zapytuję siebie, czy pianistka usłyszała w fatalnej chwili pęknięcie strun swego instrumentu. Starego lekarza ogarnęły płomienie, gdy spokojnie udawał się na punkt opatrunkowy. Zapuściłem się pomiędzy rozrzucone dachówki. Nic! Żadnego dźwięku!.. A więc łkanie to było tylko złudzeniem? Wiatr znów dmie od strony portu owiewając wzgórze. Hiip, Hiip — słyszę jęki tuż pod moimi stopami. Zatrzymuję się...

I zrozumiałem! To płaczą dachówki! Nagromadzone w bezładzie wystawiają na wiatr przeróżne kształty nieforemne, na których jego podmuch wygwizduje swoją skargę. I jest całkowicie zgodne z prawdą, że dźwięki te przypominają łkania!..

Płaczcie dachówki!.. Tak, płaczcie! Ponieważ nikt tu nie pozostał przy życiu, aby opłakiwać zniszczone rodziny, niech przynajmniej na ich mogiłach zapłaczą na wietrze dachówki.

POWRÓT ŻOŁNIERZA

Zdemobilizowany żołnierz ukazuje się na wzgórzu. Chwieje się pod ciężarem plecaka, zatrzymuje się, rozgląda dookoła. Znów robi kilka kroków, znów przystaje i spogląda na okolicę. W pewnej chwili zdaje się rozpoznawać skałę ogrodową czy jakiś inny znak orientacyjny. Wpatruje się w ziemię, zatacza się i naraz pada na miejscu pod swoim plecakiem. Przez dłuższą chwilę leży nieruchomo jak nieżywy.

Śledzą go oczy ze wszystkich baraków, lecz nikt nie ma odwagi wyjść, ani zawołać na niego, bo każdemu łzy ścisnęły gardło. Każdy myśli: To Yamada, wraca z południa... a oto cała jego rodzina zginęła. Pozostał przy życiu, sam jeden, on, który gotowy był umrzeć za swój kraj...

Jeden z pozostałych przy życiu ludzi-pocisków wyszeptał: nie należałoby nigdy prowadzić wojny...

UBÓSTWO

Wiecie, nie posiadam obecnie ani grosza!.. Powtórzyłem dziś ponownie te słowa pewnej odwiedzającej mnie osobie. Od jakiegoś czasu stało się to jednym z moich najulubieńszych zdań. Jest to w gruncie rzeczy dowodem wielkiej próżności; to samo dokładnie uczucie każe komuś innemu powiedzieć: jestem milionerem. Podejście pozytywne, czy negatywne do tego samego zagadnienia z punktu widzenia samoanalizy.

Chlubić się z powodu, iż jest się ubogim, nie jest dowodem uczciwego ubóstwa; można by je nazwać ubóstwem występnym, bo usiłuje ono unikać odpowiedzialności względem społeczeństwa, kryjąc się za tarczą nędzy.

PRZYWITANIA

— Co to? Żyje pan jeszcze?... Oto co się słyszy na ścieżkach pomiędzy ruinami; jest to zrozumia-

rys. Barbara Jonscher

*) Fragment książki Pawła Nagai „Dzwony Nagasaki" (przygotowywanej przez Wydawnictwo „Pax").

odznacza się nieprzejednaną postawą wobec konsumpcyjnego stylu życia. To przypuszczenie jednak o tyle nie wystarcza w usunięciu postawionego zastrzeżenia, że chrześcijanin, a w dodatku człowiek nauki, jest obowiązany wiedzieć o istnieniu, opartej o fundament prawa natury, moralności laickiej, jakże często chercicznie ofiarnej.

O wiele mniej wątpliwości nasuwa sprawa rzekomego „nacjonalizmu" dra Nagai. Surowy osąd japońskiego militaryzmu, ostre widzenie istotnego mechanizmu wojny w jej przesłankach gospodarczych i klasowych, odważna polemika z cementującym feudalizm światopoglądem magicznym, wreszcie uznawanie w pracy podstawowego źródła wartości kulturalnych — wszystko to każe nam wyrzec się tego zarzutu. Co więcej, sądzę, że poświadczona życiem miłość dra Nagai do japońskiego narodu i zdeterminowana gotowość do dzielenia z nim każdej doli stwarza porywający przykład dla wszystkich chrześcijan żyjących w społeczeństwach światopoglądowo zróżnicowanych.

Z tej perspektywy maleje wina tolerancyjności, jaką zdaje się wykazywać dr Nagai wobec kultu cesarza, traktowanego przez autora, niesłusznie, prawdopodobnie jako, tylko obyczajowy, ornament patriotyzmu.

Z tej perspektywy — jedynie, nie znajdującym wyrazu wzruszeniem można uczcić tego Hioba XX wieku, który dotknięty wszystkimi możliwymi plagami wytrwał, a załkał po raz pierwszy — na wiadomość o klęsce Ojczyzny.

Jeżeli istnieje także i mistyczne znaczenie starcia z powierzchni ziemi właśnie katolickiej dzielnicy Nagasaki, to chyba tylko Bóg może o nim wyrokować. Argumenty zgromadzone przez dr Nagai mają wartość dowodu wyłącznie dla już przekonanych i można byłoby im przeciwstawić sto innych nierównie celniejszych. Tylko przez największy szacunek dla autora tej tezy wypada powstrzymać się od polemiki z często oczywiście niesłuszny ii i wychowawczo szkodliwymi wspierającymi ją przesłankami. Nie zapominajmy jednak, że dr Nagai każdą stronicą książki aktywnie walczy z wszystkim, co mogłoby uzasadniać choćby pozór sensu wyzwalania atomu przeciw ludziom. W dodatku to jest głos ofiary i w imieniu ofiar. My, bierni świadkowie zbrodni, na temat jej znaczenia innego, poza dosłownym i przez ludzi sprawdzonym, nie mamy do powiedzenia nic. Absolutnie nic.

Dr Nagai napisał książkę o ludzkiej prawdzie Nagasaki. Bohaterowie jego opowieści doktnięci najstraszliwszym doświadczeniem, spośród tych, jakie się przydarzyły światu, mówili: „Ruszaj się, włóż hełm i poszukaj bandaży", „Mój Boże... to taki grubas, jak my go wyciągniemy", „...proszę umyć ręce. Jeżeli będziesz dotykać ran brudnymi rękami — natychmiast wywiąże się zakażenie". „Jednak jestem głodny — przynieście tu wasze śniadanie". Czy może być godniejsza i skuteczniejsza odprawa moralna dana przez człowieka złemu szaleństwu atomowych zamachowców?

Albo lakoniczne stwierdzenie dra Nagai po radioaktywnej masakrze Uniwersytetu: „...w dalszym ciągu byliśmy Wydziałem Medycznym". Albo Ueno, który z reguły podczas bombardowania tkwił na dachu, żeby sygnalizować miejsca pożarów, zwierzający się z zakłopotaniem: „...dostałem burę od matki. Powiedziała mi, bym nie udawał zucha, nie zachowywał się w sposób zwracający na siebie uwagę innych. Nie jesteś już dzieckiem — dodała".

Dr Nagai napisał książkę o wytrwałości, męstwie i miłości. A w zamierzeniu sprawców napadu miała to być opowieść o zbydlęceniu, rozpaczy i przerażeniu.

Dr Nagai, którego fascynacja katolicyzmem poczęła się w trakcie lektury Pascala — jak nikt inny mógł nam przekazać relację o sile i wielkości człowieka-„trzciny myślącej". Czym jest szantaż atomowy wobec ludzi, którzy jak on na wiadomość, że nauka odkryła tajemnicę wyzwalania nowych źródeł energii, przeżywają dramat radości!

„Jestem przekonany, że mój syn będzie w przyszłości stać po stronie pokoju" — mówi dr Nagai. I to jest ostateczne przypieczętowanie porażki poniesionej przez siły antyczłowiecze. Dr Nagai działa z upoważnienia. Otrzymał mandat od ludzkości, która chce, która może i która musi zostać s o b ą.

M. R.

łe, bo zmarli są liczniejsi od żyjących. Lecz w rzeczywistości nie są to słowa prawdziwej przyjaźni. Ten, kto by naprawdę niepokoił się o mój los, musiałby skoczyć do mnie krzycząc: — Do licha! Tyle ciebie naszukałem się! Gdzieżeś się schował, stare bydlę!.. Moja młodsza siostra przybyła, aby mnie odszukać, aż z Sampeiyama, z dalekiego okręgu Iwani. Pośpieszyła do mego węzgłowia nie tracąc nawet czasu na zrzucenie ciężkiego plecaka, a gdy ujrzała moją obandażowaną głowę — wybuchła łkaniem. Jej mąż zginął w Birmie. — Dobrze już, dobrze — powiedziałem — zdejm najpierw swój bagaż, nim będziesz płakać!

Uwalnia się od plecaka i wyjmuje zeń zegar ścienny, przedmiot bardzo stary; pamiętam go z czasów mojej młodości.

Mówi mi:

— Dziwnie na mnie spoglądano przez całą drogę, bracie. Nie przestawał pobrzękiwać! I oto zaczyna śmiać się, nie pomyślała nawet o otarciu łez. Wiesza zegar na ścianie, nakręca...

To rytmiczne cykanie zdaje się wnosić życie w nasz barak.

— Zegar ścienny — mówi — to serce domu. — Spogląda na swój zegarek, nastawia strzałki na godzinę 2 m 50. Za dziesięć minut zegar będzie bić... Dźwięki słyszane w dzieciństwie odżywają w mojej pamięci.

— Cicho, Kayano, siedź spokojnie, malutka! Za dziesięć minut, kiedy wielka strzałka będzie u samej góry, będzie dzwonić: dong, dong, dong... tak właśnie!

— Kiedy zadzwoni, będzie to pora na herbatę? — pyta Kayano.

— Tak, Kaya kochana; mama... nie, ciocia da ci pomarańczę z Iwani...

Ciocia prawdopodobnie znów rozpłakała się, bo — odwrócona — zaczęła szperać w swoim plecaku.

Lecz ja i Kayano, zatrzymując oddech, patrzymy, jak powoli, powoli posuwa się wielka strzałka.

SZCZĄTKI

Zacząłem usuwać wraz z Makoto zwęglone szczątki. Rozkopujemy warstwę popiołu, gruzu i dachówek, przesiewamy popiół i wynosimy go na pole, a resztę wrzucamy do dawnego schronu. Jestem już tylko inwalidą, a Seiiszi to jeszcze dziecko, więc praca posuwa się wolno.

Gdy potrząsałem sitem, zobaczyłem między potłuczonymi dachówkami coś pięknego. gdy wziąłem to do ręki. stwierdziłem, że trzymam klamrę od pasa.

Był to przedmiot z porcelany Fażima z polewą trochę wytartą, ale gdy tak patrzyłem na niego, w mojej pamięci powstawały obrazy z życia rodzinnego: przypomniałem sobie dzień, kiedy kupiłem tę klamrę koło wielkiego mostu w Matsue okręgu San In w drodze powrotnej z mojej pierwszej podróży do Kioto, dokąd udałem się na zjazd wkrótce po zawarciu małżeństwa. Midori lubiła tę obi-dome i często ją nosiła. A przecież kształt jej był bardzo prosty...

Przychodzą mi na pamięć białe ściany werandy i kwiaty, i pszczoły... Seiiszi przywołuje mnie do rzeczywistości; wieczorne słońce wydłuża mój cień na popiele, nogi marzną mi na chłodnym wietrze.

Przyklękam w miejscu, gdzie znalazłem szczątki Midori; odmawiam różaniec. Potem wracam do domu.

Nie chciałem już więcej uprzątać gruzów po tym zdarzeniu; przekopując je dalej napotkałbym inne jeszcze relikwie, a tego już nie wytrzymałbym. A przecież nie dlatego, bym chciał zapomnieć, lecz by uniknąć zbyt bolesnych wspomnień.

UPRZĄTANIE GRUZÓW

Jeden z moich nowych znajomych, pan Toizumi, ofiarował się przyjść z trzema uczniami szkoły średniej, aby zająć się uprzątaniem gruzów.

Nieskończona ilość wspomnień wiąże się z przedmiotami należącymi kiedyś do osób bliskich.

Ach, to koło od maszyny do szycia!.. Lecz obojętne ręce młodzieńców rzucają je do starego schronu: — To tylko stara maszyna do szycia — mówią — na śmietnik z nią!

Ach, to żelazko elektryczne! Ale p. Toizumi decyduje: — Ten grat już do niczego. Precz z nim! — I wyrzuca je...

Obojętne ręce moich czterech pomocników ciskają do schronu te szczątki, z którymi łączą się niezliczone wspomnienia. Ale już tego wieczoru pole zniszczenia stało się miejscem na piękny ogród. I p. Toizumi mówi:

— Tu posadzimy dla pana krzak róży.

CZTERY OKRESY ODBUDOWY

Przeżyliśmy na pustyni atomowej cztery okresy odbudowy: okres schronu, okres baraku, okres domu tymczasowego i okres domu zbudowanego na stałe.

Pierwszy trwał około miesiąca i można byłoby nazwać go okresem życia w gromadzie, ponieważ w braku domów ludzie skupiali się, kierowani zażyłością sąsiedzką, tworząc pewną wspólnotę; ułatwiało to zresztą stosunki z władzami i rozdawanie żywności. W schronach leżało dużo rannych i ci, co wyszli bez szwanku, uprzytamniając sobie, że wspólny los wiąże ich wszystkich, pomagali im dzieląc się swym skromnym dobytkiem. Pomimo skrajnej nędzy, pomimo rozpaczliwego stanu zarówno ducha, jak i ciała, życie to miało w sobie coś pięknego. W tym okresie każdy czuł się wytrącony z równowagi; dni spędzano jedynie na przygotowaniu posiłków i na wyszukiwaniu zwłok swych bliskich. Nikt z nas nie wiedział dobrze, co robi, a jeszcze mniej, co należało robić.

W okresie baraku ludzie zaczęli przygotowywać się do nowego życia, robić plany. Byli już bardziej dokładnie powiadomieni o losach swych krewnych i przyjaciół; gdy pogrzebali swych zmarłych, rozpoczęli starania o aprowizację, wybierali z banków swe wkłady, jednym słowem, myśleli już o odbudowie. Ludzie związani pokrewieństwem łączyli się, aby za pomocą belek i blachy wspólnie stawiać baraki o powierzchni 10 stóp kwadra-

(Dokończenie na str. 7)

MŁODOŚĆ POZDRAWIAM

(Dokończenie ze str. 1)

Plakat festiwalowy

Takie jest tło — błękit,
z twojego i z mojego nieba
malarka wiernie śmiałym pędzlem zdjęła
ten odblask lekki.

Wstęgi spływają welonem
złote jak słodycz zbóż
furkocące, modre, zielone
I skowrończe — kwietniowe — poranne
z ślicznych wesel chłopskich zerwane
haftowane płatkami róż.

W górze wieniec bogaty
toczy się kołem
taki wieniec niechaj zapachnie
ziemi nad czołem
upleciony z wzorzystych wiosen
z dni najczystszych, z gwieździstych nocy
wieniec niosą wysoko w błękit
młodzieńcze głosy.

Warszawa

Tylko geograficzny znak
Tylko ptak wypłoszony pod stropami chmur
Na kartach Europy gdzie się gnieździł wiatr
kropla zakrzepłej krwi.

I nic — i nawet cień kolumny
Nie schodzi nad słowiańską rzekę
W której się tylko noc zanurza
Czołem ożałobionych wdów.

Ale zerwała się z popiołów
ze snu zerwała się — nie z martwych
jak szloch dźwignięta z głębin piersi
w purpurze wzbierających dziejów
prosta — bez pysznych naramienni
boso — po zenit sięgająca
orlęca — czoło w stronę świtu
aby na nowo skrzydłem srebrnym
przygarniać młodość.

Przedstawiciele młodzieży hiszpańskiej

W zdławionym brzęku gitar
w ostatniej woni goździków
kiedy umiera na wargach
i w krtani buntownika
na próżno wdeptanej w piasek —
wszędzie jest podmuch zarzewia.

Tutaj — do naszych ognisk
biegnie stłumiony okrzyk
od wystygłych już przedmieść Madrytu.

Póki rdza toczyć będzie kraty Santanderu
i nie zapłonie goździk plamą krwi —
dokąd się iskrzyć będą słowa Lorki
Wy
Starsi od nas o godzinę pożaru
wydani na ciemność dłuższą
czuwajcie
aż się rozdzwoni u zenitu
świt Iberyjski
zmieniony w uśmiech.

Brazylijski zespół jazzowy

Tu radość klaszcze — kląska flet
iskrami pryska na ręce
muzyka — stubarwny ptak

Smagli chłopcy na instrumentach
kołyszą miękko parne noce
noc przygasa a potem łka
ich niskim głosem.

Coraz szybciej warczą bębenki
żeby zwołać radość na święto.
Brazylijczycy niosą pozdrowienia
Słowiańskim dziewczętom.

Wiersze Hikmeta

Cekiny — krzywa szabla na atłasie
gdy czarne skrzydła cyprysów
biją w cmentarny księżyc —
na strzemieniu zawisa już ostatnia z gwiazd —
perła Orientu.

Nie balsamem namaszczone usta
tylko piołun przekleństw — gniewna krew
w zgrzycie zasuwy więziennej
w jęku szubienic.
Aż na spotkanie jutrzni
twój werset błękitny powieje
zatknięty na wieżach Turcji
przez Ciebie,
proroku nadziei.

Chińskie tancerki

Zabrzękną ciężkie pierścienie u stóp
brnących przez lepki muł ryżowych pól.
Palce barwione szafranem księżyca
całować będą ciało ciężkiej ziemi
jakby scałować chciały złoty pot
którym powolny pochód tysiącleci
zastygł na skroniach.

Tak pochylają się odwieczne matki
do kolan tajemniczo śpiących bóstw
tak się zginają pod jarzmem bawoły
nad rzeką nędzy — rzeką świętej nędzy.

Aż nagle warczy krągło wąski miecz
i błyskawicą spada z rąk do rąk
w tańcu księżniczki azjatycka róża
poczyna dymić cenną kadzielnicą
powieki wykrojone w kształt kwitnących śliw
wzlecą nad zwierciadłami źrenic
studzwonną chwałę grają tamburyny —
wołajcie radość triumfalnych er!

Teatr Brechla

Matka zajadła jak szczur
wlecze wózek po bruzdach wojennych
Tak odważnie śmieje się Grusza
jakby wlokła moje własne serce.
jakby chciała nauczyć mnie siły
od nieszczęścia własnego silniejszej.

Dyrektorze teatru —
dlaczego
nie układasz symfonii aniołów
nie wyzwalasz na jawie snów?
tylko przez mgłę pogorzelisk
wysoko unosisz zwierciadło —
trudnym naprzecim czasom.
Oto jest droga dramatu
płomieniem przez pierś mi się ściele
wiodąca ku prawdzie świata
Vom Himmel durch die Welt
zur Hölle.

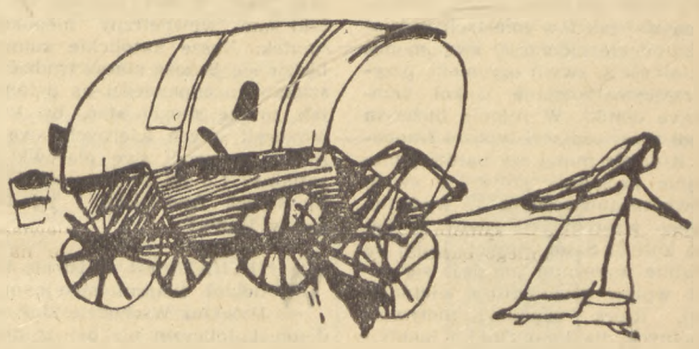

rys. Gabriel Rechowicz

Tęcza

Na sztandarze brytyjskim skrzyżowane wstęgi
Sztandar radziecki płonie ogniami poranka
Iskry gwiazd obsypały sztandar amerykański
Proporzec Francji zaświecił śniegiem — niebem i winem
Na polskim biel północna wespół z krwią amarantu
trzepoce na maszcie jak skrzydło.
Piękne są znaki narodów
spięte promieniem tęczy
ale wysoko nad światem
nad wszystkie inne lotniejszy
dotknięty ustami świtu
rozpięty sztandar pokoju
błękit — barwa zenitu.

Dzwony całego świata

Może już jutro
zapłonie u zenitu
świt pojednania.
Kiedy padną ostatnie twierdze wrogów ziemi
i wszyscy przemówią językiem powszechnie zrozumiałym
Wtedy ręce każdego człowieka
będą jak gwiazdy w smudze drogi mlecznej
I ci — stojący na urwistych wzgórzach
na brzegach rzek gorących
albo w sercach skał
usłyszą tę muzykę — jak się z mgieł wynurza
rosnąc po zenit.
A ty powitasz pieśnią
dzwony całego świata
weselne dzwony świata
tętniące w głębiach piersi.

Młodości — nie płacz

Zachwycająca gdy skrzydlatą stopą
przekraczasz rumowiska —
promienną sięgając dłonią
po wszystko.

Tylko śmiech tylko pląs weselny
Tobie naprzeciw
Świat jak ty wiecznie zakwita
Nie płacz.

Nie nasłuchuj jak łka pod darnią
tamta godzina
zwyciężona już — odrzucona
w przeszłość

Mnie pozwól zbliżać gorzkie usta
do rąk wspomnienia
gdzie już gasną żałobne chusty —
Młodości — nie płacz.

Mikołaj Bieszczadowski

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

Na Daleki Wschód (3)

PRZED OPUSTOSZAŁYMI OŁTARZAMI

Pusta plebania i opuszczony kościół w Phu My

SZOSA, prowadząca z Hanoi na południe, przez Nam Dinh, przez Thanh Hoa i Vinh do dawnej stolicy cesarskiej Hue, a dalej jeszcze poprzez cały Wietnam aż do Saigonu, wije się mozolnie przez cały obszar delty. Po obu jej brzegach poprzez taflę wody przebija się świeża zieleń pędów ryżu. Raz po raz drogę przecinają nam szerokie, rozlewne rzeki. Wietnamskie wioski, ukryte za bambusowymi ogrodzeniami, oddalone od szosy, umykają przed naszymi spojrzeniami. Za to wzdłuż całej naszej drogi prowadzą nas, jakby słupy milowe, rozsiane od jednego końca horyzontu do drugiego — wysokie, masywne wieże kościołów. Są to na tej trasie jedyne budynki murowane, jakie dostrzegamy poza obrębem miast. Zarówno na wsi jak i w miastach kościoły katolickie uderzają swą monumentalnością, swym ogromem, przytłaczającym rozsiane wokół bambusowe domki. W rejonie bliższym Hanoi przeważa styl typowo francuski. Kościoły mniej czy bardziej nieudolnie naśladują gotyk w swym dziewiętnastowiecznym wydaniu, którego wzorem jest znany w Paryżu kościół Saint Sulpice. Dalej na południe wyraźniej już daje się odczuć wpływ architektury wietnamskiej, która szukała motywów wspólnych dla katolickiej i buddyjskiej architektury religijnej.

Nie odjechaliśmy jednak jeszcze daleko od Hanoi, gdy wzrok nasz przykuł widok wielkiego, pięknego kościoła, położonego malowniczo tuż nad szosą, na wzniesieniu. Długa, wysmukła wieża odbijała się wdzięcznie w wodach niewielkiej sadzawki. Odrzewiona grobla zapraszająco wskazywała drogę do świątyni. Było widocznie coś naprawdę niebanalnego w tym widoku, bo jednogłośnie zdecydowaliśmy zmienić plan podróży, zatrzymać samochody i odwiedzić ten piękny kościół.

Był dzień powszedni, a w Wietnamie nawet w niedzielę Msze Święte odprawiane są bardzo wcześnie rano (między trzecią a szóstą rano), nie mieliśmy więc nadziei zastać wiernych w kościele. Stwierdziwszy, iż rzeczywiście drzwi są zamknięte — skierowaliśmy się ku pięknym zabudowaniom plebanii. Jakież było nasze rozczarowanie gdy i tu nikt nie wyszedł na nasze spotkanie. Plebania robiła wrażenie zupełnie niezamieszkałej, porzuconej. Nasza wizyta nie przeszła jednak niezauważona i po chwili zjawił się zakrystian, by uczynić nam honory domu.

Gdzie proboszcz? — Nie ma proboszcza. Co się z nim stało? Wyjechał już dawno temu i nie wrócił. Kiedy? Razem z wojskami francuskimi.

Czy to był Francuz? — pytamy dalej. Nie, Wietnamczyk. Wchodzimy na plebanię. Dziwne wrażenie robi ten dom. Jakby go opuszczono nagle w chwili wielkiej paniki. Na ścianach możemy oglądać duże, oprawione fotografie. Wisi portret Papieża, wisi fotografia ordynariusza, biskupa Hanoi, jakaś inna fotografia starszego kapłana z dedykacją, zdjęcie przy ołtarzu, gdzie widzimy właśnie proboszcza w towarzystwie jakiegoś drugiego księdza. Czujemy się trochę jakby na typowej polskiej plebanii. Meble pozostały również, drewniane, proste, ale masywne. Trochę książek na półce. Proboszcz najwidoczniej, uchodząc zabrał tylko najbardziej niezbędne rzeczy osobiste.

Nie mogę się pogodzić w dalszym ciągu z widokiem tej opuszczonej plebanii, zamkniętego kościoła. Wypytuję dokładniej zakrystiana. — Dlaczegóż ksiądz was opuścił? — Głos i gesty mojego rozmówcy są bezradne, pełne rezygnacji: Ksiądz wyjechał w czerwcu 1954 roku, razem z francuskimi wojskami. Dlaczego — nie wiemy. Widocznie bał się, ale czego, też nie wiemy. Nie był zły. Polityką chyba się nawet nie zajmował. Ale poszedł. Pozostawił wokół kościoła wioskę złożoną z czterystu katolickich mieszkańców, no i także dalsze gminy katolickie. W najbliższej parafii także księdza nie ma. Czasem jakiś ksiądz przyjedzie i odprawi nam nabożeństwo. Mamy tu katechetę. Uczy dzieci, prowadzi naszą szkołę — o tam, za kościołem. Poszliśmy zatem odwiedzić dzieci i wysłuchać z przejęciem ich śpiewnego „Ojcze Nasz", oglądać cienkie patyczki liter wypisanych pracowicie, ukosem, na tablicy: „Szacunek dla naszych dostojnych gości..."

Niestety, takich opuszczonych kościołów napotkamy dużo wzdłuż naszej trasy. Każdy wzbudzi w nas taki sam wewnętrzny niepokój i smutek. Nasze katolickie sumienie będzie się jeszcze nieraz trudzić nad szukaniem odpowiedzi na pytanie — jak to się mogło stać, by księża porzucali swych wiernych, swe kościoły, porzucali swe placówki parafialne? Co na to biskupi? Co na to Stolica Apostolska i jej Delegat w Hanoi?

WIETNAM jest w istocie katolickim filarem misyjnym na Dalekim Wschodzie. Jak wiadomo, katolicyzm nie bez trudności zapuszcza korzenie w świecie azjatyckim. Napotkał on tam żywotną kulturę moralną, podbudowaną specyficzną filozofią i strukturą socjalną, na ogół zupełnie nieprzystępną dla pojęć i obyczajów chrześcijańskich. Toteż liczba katolików stanowi na ogół w Azji minimalny procent ludności. Jedynym istotnym wyjątkiem jest właśnie Wietnam, gdzie ilość katolików wynosi około dziesięć procent ludności.

Cały Wietnam liczy zatem około dwóch milionów katolików, rozdzielonych pomiędzy szesnaście diecezji misyjnych, czyli wikariatów. Łącznie duchowieństwo Wietnamu liczy około półtora tysiąca księży, z czego białych misjonarzy 350, a księży wietnamskich ponad tysiąc sto. Biskupów wietnamskich jest siedmiu. Jak widzimy więc, katolicyzm opiera się w Wietnamie na mocnej strukturze kościelnej, dobrze już wrośniętej w tamtejszą rzeczywistość.

Z chwilą gdy układy genewskie ustaliły tymczasową granicę stref, na północ od siedemnastego równoleżnika, pod władzą demokratyczną znalazło się ponad milion katolików w dziesięciu diecezjach. Najbardziej zwarta, najmocniejsza część katolickiej społeczności Wietnamu znajduje się w rejonie delty tonkińskiej. Ośrodki katolickie na południu były zawsze i znacznie bardziej rozrzucone i znacznie mniej dynamiczne.

Tymczasem zastajemy dziś tę właśnie społeczność katolików w Wietnamskiej Republice Demokratycznej w stanie daleko posuniętego wewnętrznego chaosu, zdezorganizowaną. Oto parę danych zasadniczych.

Na dziesięć wikariatów, wszystkie obsadzone przez biskupów (sześciu Wietnamczyków, dwóch Francuzów, jeden Hiszpan i jeden Belg), dziś pozostało w Republice Demokratycznej czterech ordynariuszy — dwóch Wietnamczyków i dwóch Francuzów. Spośród przeszło tysiąca księży tych dziesięciu diecezji dziś pozostaje na posterunku zaledwie około trzystu. W znacznej większości są to zresztą najstarsi, czasem niemal niezdolni do pracy duszpasterskiej. Tymczasem parafii jest tam przeszło sześćset. W niektórych diecezjach stan ilościowy duchowieństwa spadł wprost katastrofalnie: w wikariacie Haifong pozostało 10%, w Bac Ninh — 15%, w Phat Diem — 20%. Liczne obszerne budynki klasztorne stoją dziś zupełnie puste, pozostało jedno wyższe seminarium duchowne w wikariacie Vinh, a i jego los wahał się do ostatniego dnia naszego pobytu.

Można więc powiedzieć sobie szczerze całą prawdę: ów filar wpływów Kościoła katolickiego na Dalekim Wschodzie grozi dziś kompletnym załamaniem. Każdy z nas z największą troską badał stan rozwoju katolicyzmu w Wietnamie i przyczyny tego głębokiego kryzysu, w którym się dziś znalazł.

Cóż doprowadziło do porzucenia kościołów, do zdezerterowania ze stanowisk apostolskich, od biskupów począwszy, na proboszczach kończąc?

Odbyliśmy długie i męczące podróże po całym Wietnamie, by znaleźć odpowiedź. Odwiedziliśmy kolejno znaczną większość diecezji: Hanoi, Haifong, Phat Diem, Thanh Hoa, Vinh, Langson, rozmawialiśmy z przedstawicielami pozostałych, rozmawialiśmy z oboma wietnamskimi biskupami i z dwoma francuskimi; z wikariuszami zastępującymi zbiegłych biskupów.

Przy pierwszym kontakcie odpowiedzi są nieodmiennie te same, wskazujące wyraźnie, iż te same wskazówki krążyły wśród duchowieństwa.

— Dlaczego nie ma biskupa? Dlaczego księża wyjechali?

Po chwili kłopotliwego milczenia odpowiedź powoływała się nieodmiennie na dwa zdania z Ewangelii — Uderz Pasterza a rozproszą się owce Jego, lub też — Jeśli cię gdzie źle przyjmują, to idź nieść Słowo Boże w inną stronę. Oba więc te cytaty sugerują, że ucieczka była wynikiem doznanych prześladowań. Gdyśmy tę samą odpowiedź po raz któryś usłyszeli z ust księdza w Phat Diem, mój towarzysz, ksiądz Suwała wybuchnął: Któż uderzył waszego pasterza? Przecież Wasz biskup uciekł wraz z wojskami francuskimi! Jakież mógł cierpieć prześladowania?

Bał się — brzmiała wreszcie szczera odpowiedź. Bał się, że zostanie przez władze demokratyczne potraktowany jako zdrajca narodu. Księża też się bali, a inni po prostu zrobili to samo, co ich biskup. W wielu wypadkach księża dostawali od swych władz duchownych wyraźne nakazy opuszczania placówek.

Gdzież więc leży przyczyna tego powszechnego strachu, który doprowadził do tak masowej dezercji z posterunków duszpasterskich?

Odpowiedź brzmi jasno: środowiska katolickie dały się zaangażować w jawną i daleko idącą politykę kolaboracji z reżymem kolonialnym. Kolaboracja ta posunęła się aż tak daleko, iż pod naczelną władzą ordynariusza z Phat Diem, biskupa Le Huu Thu, powstały katolickie wojska, dowodzone przez księży, uzbrojone i szkolone przez oficerów francuskich, ściśle współdziałające z francuskim korpusem ekspedycyjnym w walce przeciw armii narodowo - wyzwoleńczej. Liczni duchowni na zapleczu demokratycznym wciągnięci zostali do siatki wywiadowczo-propagandowej, współpracującej z Francuzami przeciw ruchowi oporu. Nie dziw więc, w tych okolicznościach, że klęska korpusu ekspedycyjnego i załamanie się ustroju kolonialnego wywołało istną panikę, która ogołociła obszar demokratyczny z większości duchowieństwa.

POWYŻSZE stwierdzenie brzmi fantastycznie, wręcz nieprawdopodobnie. Ja sam długo i z niedowierzaniem zbierałem szczegółowe informacje, nim uświadomiłem sobie rozmiary tego nadużycia religii, jakie zostało popełnione w Wietnamie.

Niemniej fakty są faktami. W chwili przewrotu, w 1945 roku, rząd prezydenta Ho Chi-Minha jednoczył wokół swego wyzwoleńczego programu przytłaczającą większość narodu wietnamskiego, łącznie z większością katolików. W rządzie, we władzach Frontu Narodowego zasiadali wybitni działacze katoliccy, jak Nguyen Man Ha czy Ngo Tu Ha. W wielkiej manifestacji narodowej na cześć rządu Ho Chi-Minha w Hanoi, w dniu 23 września 1945 roku, katolicy wystąpili masowo, łącznie z duchowieństwem. Osobiście słyszałem, z ust młodego księdza w Hanoi, opis tej entuzjastycznej manifestacji jedności i patriotyzmu. Biskup z Phat Diem, tenże sam Le Huu Thu piastował wówczas godność osobistego doradcy prezydenta Ho Chi-Minha.

Idylla ta jednak nie miała trwać długo. Rząd Ho Chi-Minha musiał zaangażować się w długotrwałą, zażartą i mozolną walkę. Przewaga militarna wojsk francuskich była w pierwszym okresie przygniatająca. Na południu Saigon, na północy Hanoi znajdowały się w rękach francuskich, tak jak zresztą większość dużych miast. Presja polityczna na środowiska katolickie wzrastała. Rewolucyjność prowadzonej walki wyzwoleńczej siała bez wątpienia niepokój wśród katolickiego aktywu politycznego, wywodzącego się z najzupełniej innej szkoły myślenia. Zasada wewnętrznej jedności Kościoła stawiała duchowieństwo katolickie wobec trudnych moralnych problemów. Głową hierarchii był przecież biskup francuski Drapier, księża misjonarze francuscy oddziaływali w większości, świadomie lub nieświadomie hamująco na angażowanie się katolików po stronie ruchu narodowo - wyzwoleńczego. Autorytatywne wypowiedzi biskupów zaczęły przestrzegać katolików przed udziałem w walce wyzwoleńczej.

Francuska polityka kolonialna umiała w Wietnamie wygrać wobec biskupów i duchowieństwa argument psychologiczny mniejszościowej sytuacji katolików. Rozwijając się przez setki lat w atmosferze oskarżeń o sprzeniewierzenie się narodowym tradycjom i wierzeniom, katolicy nabyli tam niewątpliwie przeświadczenia, iż bez oparcia się o opiekuńczą moc państwa europejskiego skazani są na pewną zagładę. Kolonializm umiejętnie rozwijał te nastroje nawet wówczas, gdy, wskutek ewolucji społeczeństwa, ów konflikt katolicyzmu z tradycyjną postawą narodową rozładował się zupełnie.

W latach 1945—1949 obserwujemy więc w Wietnamie powolne, ale stałe odrywanie katolików od sprawy narodowo - wyzwoleńczej. Polityce kolonialnej na pewno udało się przeprowadzić zwycięsko ten manewr kolonialny w odniesieniu do hierarchii i duchowieństwa. Masa wiernych, w swych sercach bez wątpienia patriotyczna, a jednocześnie ślepo posłuszna swym księżom, zachowywała w tym czasie postawę chwiejną, sprzyjającą walce narodowej tam, gdzie jej siły były dostatecznie mocne, by móc się ujawnić, poddając się presji kolonializmu tam znów, gdzie kolonializm potrafił swe pozycje umocnić.

Biskup Le Huu Thu pokazał w tym czasie swą niewątpliwą polityczną indywidualność. Pozostając w strefie wpływów wietnamskich, zachowywał swój tytuł doradcy rządu wyzwoleńczego, co zapewniało mu autorytet i samodzielność. Korzystał z tego, by powoli zamieniać swoją diecezję oraz sąsiednią Bui Chu w wyodrębniony obszar, pod autonomicznym, katolickim zarządem. Rząd demokratyczny zgodził się na ten stan rzeczy, by podkreślić poszanowanie pozycji katolików. Gdy jednak Francuzi doszli do porozumienia z cesarzem Bao Daiem i uzyskali jego firmę dla swej polityki, biskup Le Huu Thu ostatecznie uchylił maski. Dnia 16 października 1949 lądują w Phat Diem na wezwanie biskupa desantowe oddziały francuskie, a dekret cesarski mianuje go udzielnym władcą obszaru obu diecezji. Tym sposobem, według najlepszych wzorów średniowiecza, władza duchowna, administracyjna, a nawet i wojskowa znalazła się w jednych rękach biskupa Phat Diem.

Natychmiast przystąpiono do organizowania wojska. Gmachy kościelne zamieniły się w koszary i podchorążówki, księża, rozkazami podpisywanymi osobiście przez biskupa, obejmowali różne stanowiska sztabowe i liniowe. Wpływy tej polityki sięgały znacznie poza granice obu diecezji. Sąsiednie, stanowiące zresztą kluczowe pozycje sił wyzwoleńczych — Thanh Hoa, Vinh, Thai Binh, stały się terenem systematycznej penetracji pod względem propagandowym, dywersyjnym i szpiegowskim. Rok 1951 dokonuje ostatecznego przełomu. Delegacja biskupów z biskupem Phat Diem na czele jedzie z wizytą do Stanów Zjednoczonych, wraca zaopatrzona w pieniądze i wiele nowych idei na odcinku dalszej aktywności politycznej.

Ramy artykułu nie pozwalają na szczegółową analizę tego niezmiernie frapującego problemu, jakim jest rozwój aktywności politycznej na odcinku Kościoła katolickiego w Wietnamie. To, co w największym skrócie przedstawiłem powyżej wystarcza jednak, by wyjaśnić, dlaczego część katolików, część biskupów i duchowieństwa znalazła się moralnie, w chwili zwycięstwa sił narodowo - wyzwoleńczych, w sytuacji, przenosząc na nasze pojęcia „volksdeutsch'ów".

Słowo straszne, ale odtwarzające całą prawdę dramatu, w jaki został wplątany katolicyzm Wietnamu. Rzecz oczywista, świadomość narodowa narodu, żyjącego w warunkach kolonialnych w sercu Azji, rozwija się inaczej niż u nas. Wyjaśnia to w pewnej mierze, dlaczego udał się manewr polityki kolonialnej, ale nie usprawiedliwia elity katolickiej, która się dała na tę drogę sprowadzić. Trzeba jednak zaraz dodać, by obraz był sprawiedliwy, że sytuacja ta wywołała także i w szeregach katolickich zdecydowaną kontrakcję. Są świeccy i duchowni bohaterowie katoliccy w szeregach wyzwoleńczych. Na niektórych obszarach masy katolickie, łącznie z całym niemal duchowieństwem, dochowały sprawie narodowej wierności, aż do ostatecznego tchu.

POCZUCIE odpowiedzialności za ten stan rzeczy tylko powoli przebija dziś wśród szerszego kręgu wietnamskiego duchowieństwa. Na ogół rozmowy na ten temat kleiły się z trudnością. Wielu rozmówców próbowało zasłaniać się nieświadomością rozwoju politycznych wydarzeń. Słabość tego argumentu była tak oczywista, że nikt nie próbował go nawet dyskutować. Boleśnie dramatyczną rozmowę odbyliśmy na ten temat w samym Phat Diem. Wokół naszego stołu zebrało się paru księży, paru świeckich. Obecny był również wikariusz diecezji, osiemdziesięcioletni staruszek, wzruszająco piękna sylwetka świętego kapłana, który po pracowitym, cichym życiu ujął w drżące już ręce ster spraw kościelnych w chwili ogólnego popłochu i załamania!

W diecezji spośród 154 księży pozostało ze trzydziestu, najstarszych. Nasze pytania uderzały też bezpośrednio w sam problem:

Jak doszło do takiego stanu rzeczy? Co myślą nasi rozmówcy o odpowiedzialności moralnej kapłana, który porzuca swych wiernych? Jak widzą przyszłość Kościoła w Wietnamie?

Pierwsze odpowiedzi były chaotyczne i niepewne. Powtórzyły się znane już cytaty z Ewangelii. Powtórzyły się ogólnikowe zwroty o strachu, o konieczności chronienia własnego życia, o niepewnym przyszłym losie. Nikt słowem nie wspomniał o minionych wydarzeniach politycznych.

Wówczas odezwał się sam wikariusz, stary ksiądz Liem. Mówił prosto, językiem pozbawionym wszelkich zawiłości i frazesów. Mówił o tym, że nigdy nie rozumiał się na polityce. Mówił o wątpliwościach, jakie w nim wzbudzały niektóre punkty programu ruchu wyzwoleńczego. Wreszcie powiedział: każdy z nas miał na te tematy jakieś poglądy, może nawet bardzo różne. Ale co do jednego musimy być tu wszyscy zgodni i nazywajmy rzeczy po imieniu. Zbłądziliśmy. Zbłądziliśmy strasznie. Ambicje, nie mające nic wspólnego z naszą misją kapłańską popchnęły wielu z nas na drogę zdrady. Wielu innych przez tchórzostwo, czy nieudolność nie umiało się temu przeciwstawić. Dziś płacimy za własną słabość i własne błędy. Sami musimy tu sobie powiedzieć, że opuszczenie diecezji przez naszych księży, przez naszego biskupa było ciężkim grzechem.

My dziś musimy odrobić popełnione błędy. Jest naszym obowiązkiem uświadomić o nich najpierw nas samych, następnie naszych wiernych. Jest naszym obowiązkiem spowodować powrót do diecezji wszystkich katolików, którzy chcą zacząć uczciwie służyć własnej ojczyźnie i Kościołowi.

Wydawało mi się, że jakiś nowy powiew przeszedł wśród zebranych. Jakby olbrzymi ciężar spadł im z bark. Nareszcie, nareszcie ktoś przemówił i wypowiedział to wszystko, co oni trawią w sobie od tak dawna, nie śmiąc tego wyrazić!

Dalsza rozmowa potoczyła się w atmosferze wstrząsającej szczerości, przy czym okazało się, że my i oni, spotkawszy się po raz pierwszy w tak specjalnych okolicznościach, rozumiemy się doskonale. Przy rozstaniu byliśmy wszyscy przekonani, iż łączy nas głęboka więź wzajemnej trwałej przyjaźni.

Ale ilu jeszcze katolików, ilu księży zwłaszcza, przeżywa dziś w Wietnamie ów dramat sumienia, jaki w Phat Diem przeciął świątobliwy starzec? Ilu wiernych zastanawia się nad nim, modląc się we wspaniałych świątyniach, czy skromniutkich kościółkach — przed opustoszałymi ołtarzami?

Wojciech Kętrzyński

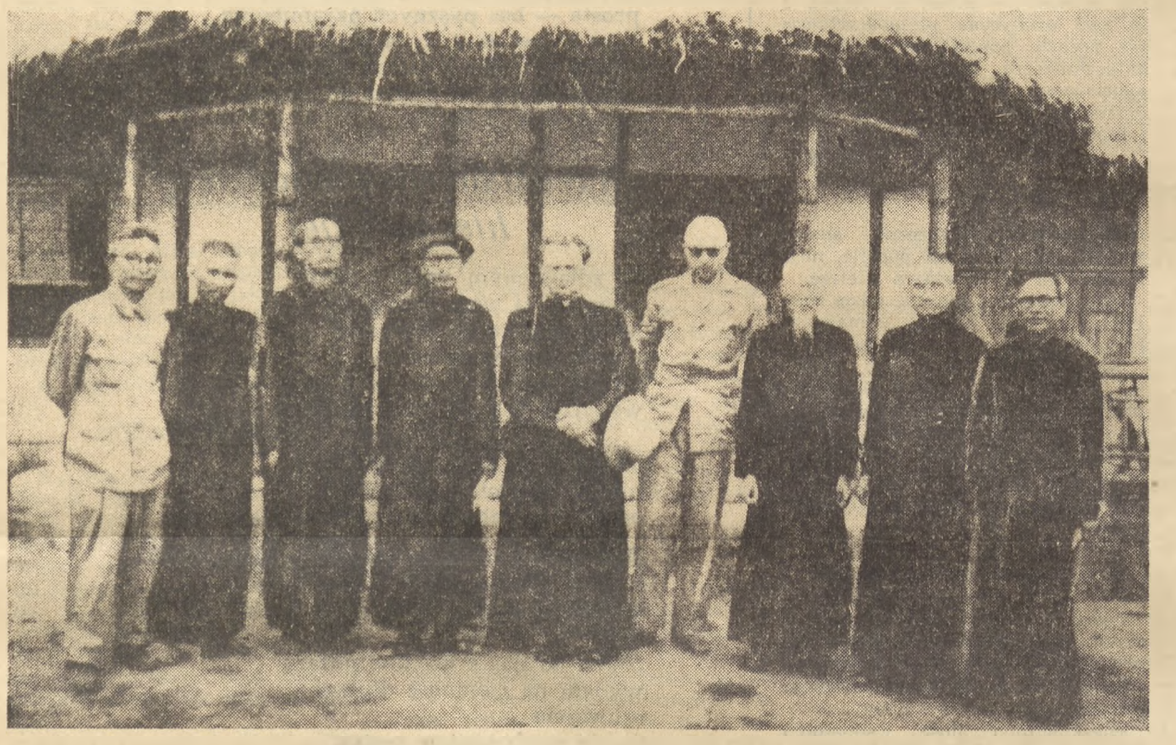

Po rozmowie z grupą księży wietnamskich

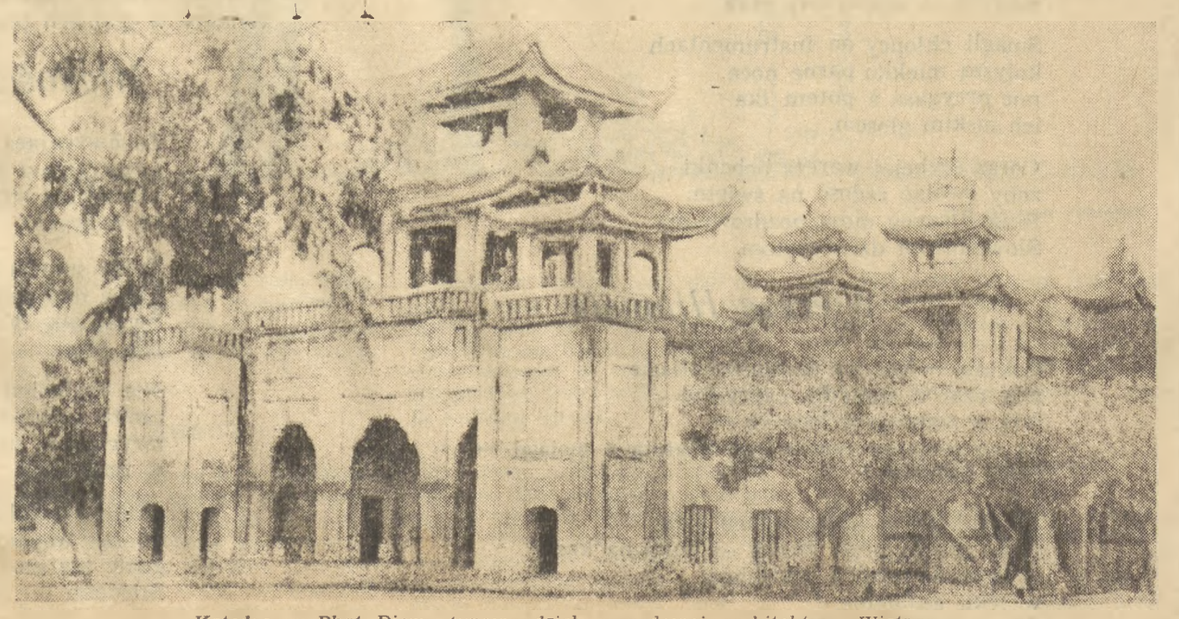

Katedra w Phat Diem, typowe dzieło narodowej architektury Wietnamu.

LONDON ★ PARIS

świecie. Pierwszym etapem był Londyn. Już w latach 1921—23 odniósł pierwsze sukcesy w Ameryce, powtórzył je w obu jej częściach, od Argentyny po Kanadę, gdzie począwszy od 1937 r. — bawił wówczas 13 lat. Kiedy w r. 1929 teatr de Podrecca zjawił się po raz pierwszy w Paryżu, miał tu gościć tydzień, pozostał przez szereg miesięcy, a kierownik zespołu otrzymał na zakończenie występów ofiarowaną mu przez rząd francuski odznakę

Legii Honorowej. Zespół objechał więc łącznie 36 krajów i występował z 20 tysiącami spektakli w 900 miastach.

Żywo zainteresowała się marionetkami włoskimi kinematografia. W r. 1934 Podrecca nakręcił z Lilian Harvey film, w którym grała ona rolę kobiety zakochanej w aktorze marionetkowym i zabijającej z zazdrości jego marionetkę. W Argentynie nakręcił z Hugo Fregonèse inny film pt. „Gdzie kończą się słowa, zaczyna się muzyka". Marionetkami Podrecca zainteresował się także głośny reżyser filmowy William Wyler. Osiem kolorowych filmów krótkometrażowych obiegło Europę prezentując ich artyzm.

Ogromne zainteresowanie, jakie teatr Podrecca wzbudził wśród największych współczesnych artystów od Paderewskiego po Valéry'ego i Unamuno, polegało, jak się zdaje, na fakcie, że marionetki są jakby w ogóle prototypem wszelkiej sztuki. Gordon Craig nazywał marionetki idealnym teatrem, wiązał z nimi samą pra-ideę teatru. Shaw uważał lalki Podrecca za „o wiele lepsze od aktorów z krwi i kości". Wyzwolone od działania prawa ciężkości, obdarzone zdolnością lotu, przywilejem wychodzenia poza realność, marionetki - lalki na nitkach — są, jak stwierdza to Podrecca, tworami „powstałymi z muzyki i marzenia". Te „ożywione rzeźby" są jakby „stenogramem człowieczeństwa", błyskotliwą mową uczuć, pozwalającą wyrazić humor, satyrę, parodię. W lalkach Podrecca zawiera się też ogromne bogactwo obserwacji humorystycznej ludzkich tików i grymasów. Chaplin, którego gra ileż miała z ducha marionetek, podziwiał w tym teatrze całkowitą wierność charakterów.

Podrecca umiał dzięki doskonałości technicznej, sprzymierzonej z obserwacją i fantazją, wydobyć z marionetek pełnię ekspresji właściwej tej formie teatru, ponadto zaś rozwinąć w stopniu rzadko spotykanym symbiozę z innymi dziedzinami sztuki. On sam i jego artyści to nie tylko głęboccy obserwatorzy komedii ludzkiej i wirtuozi palców — to zarazem wszechstronni ludzie ruchu, z ekspresją maski połączyli oni zdobycze najnowszej inscenizacji i magię światła, które odgrywa w tym teatrze poważną rolę.

Do wartości artystycznych wyrosłych z włoskiego ducha narodowego — zespół składa się wyłącznie z Włochów — dołączają się, właściwe temu narodowi, szczególnie wysokie wartości humanistyczne. To, co jest charakterystyczne dla włoskiego filmu i powieści: pogodne i — przy całej prawdzie bystrej realistycznej obserwacji — optymistyczne spojrzenie na człowieka, spojrzenie, w którym jest i humor, i sentyment, i sympatia — przebija w tym zespole. Wszystko to zdaje się czynić teatrzyk, będący teatrem objazdowym w skali światowej, prawdziwym ambasadorem humanizmu i międzyludzkiej przyjaźni. Czy nie należałoby pokazać go również w Polsce?

---

ruzierowi. Ten, znany ze swych szlachetnych kształtów, podjął się pozowania, aby posłać potem pieniądze przymierającemu z głodu Gauguinowi. Rządy ,otwierające dziś wspaniałomyślnie podwoje swych muzeów przed tym męczennikiem malarstwa i jemu podobnymi, kiedyś przerażone były ich rewolucyjnym stylem. Dyrektor ówczesnych Beaux Arts, Roujon, odmówił w r. 1894 wystawienia 27 płócien, namalowanych oprócz Gauguina przez innych najwybitniejszych artystów: Cezanne'a, Pissarra. Moneta... Los tych twórców był przez długie lata niepewny, mimo całego ich geniuszu, a być może właśnie ze względu na ich geniusz.

A jakże jest z Picassem, reprezentowanym w każdej niemal paryskiej wystawie? Można w tej chwili podziwiać prawie trzysta jego obrazów, od słynnego okresu błękitnego aż po nasze dni. Jedyny wyjątek stanowi ten szalony okres, w którym artysta znajdował przede wszystkim upodobanie w zadziwianiu widza. Przed tymi, którzy znali go tylko z jego ekscentryczności, Picasso odsłania tu wzruszającą wrażliwość, dzieła pełne czułej litości dla ludzi prostych, wstrząsające obrazy macierzyństwa. Picasso nie przestaje zdumiewać.

Bardziej uprzywilejowany od wielu innych, wszedł już za życia do historii sztuki i doczekał się rozgłosu nawet w najbardziej popularnych pismach ilustrowanych. Tak oto w świetnym numerze tygodnika „Match" poświęcono mu kilka stronic, na których śledzić można rozwój jego talentu na przykładzie takich dzieł, jak „Kobieta z psem" z okresu maniery Toulouse - Lautrec'a, „Siedzący arlekin" z okresu różowego czy „Skromny posiłek", przypominający El Greco, podczas gdy „Guernica", natchniona, przez grozę wojny hiszpańskiej z r. 1937, stanowi przejście od kubizmu do deformacji lat ostatnich.

Na tej linii ognia wytyczonej przez geniusza stoi dziś cała generacja. Czy uda się jej stworzyć sztukę rzeczywiście osobistą? Picasso wyzwolił malarstwo od wielu wzorów, lecz czy stworzył sam nowe?

Jean Bergeaud

JERZY OLKIEWICZ

O STRAWIŃSKIM

STRAWIŃSKI może być dowodem na to, że istnieją duchy. Mówi się niekiedy o nim, nikt go nie widział i nie słyszał — a może w ogóle go nie ma, może to jakaś wymyślona postać?

Słowo honoru, że Strawiński istnieje, że jeszcze żyje i co gorsza — w dalszym ciągu komponuje. Gdyby go nie było, cała historia muzyki potoczyłaby się zupełnie odmiennym torem, a jego twórczość ma znaczenie nie tylko historyczne, ale jest żywa i ciekawa dla wszystkich — także dla nas. Strawiński jako człowiek może nam być zupełnie obcy, obce mogą być jego przekonania polityczne czy filozoficzne — ważna jest jego muzyka, z której można wyciągnąć niejedną naukę. Jakże często w rozwoju kultury dokonywała się asymilacja wartości, które były produktem obcego, wrogiego nieraz środowiska — i użytkowanie ich dla zupełnie niezamierzonych przez autora celów. Zresztą żeby wydać o czymś sąd — trzeba to coś przede wszystkim poznać. Określanie a priori muzyki Strawińskiego jako nieludzkiej i elitarnej to dość prymitywna metoda. Strawiński ma cały szereg utworów, które podobają się bynajmniej nie elitarnej publiczności na całym świecie.

A więc przede wszystkim przeważającej części utworów Strawińskiego — zwłaszcza utworów późniejszych — bardzo daleko jest do jakiejkolwiek ekstrawagancji. Strawiński tylko przez pewien czas mógł być uznany za jednego z przywódców awangardy (po „Święcie Wiosny" 1913). Przeobrażenia, jakim ulegała w następnych latach jego twórczość, odsunęły go bardzo daleko od tych elementów, które niegdyś wywołały tak wielką burzę w całym świecie muzycznym — i nie tylko muzycznym. Dziś Strawiński to kompozytor ogromnie zdyscyplinowany, o balwochwalczym stosunku do tradycji, zwolennik jak największego umiaru, wielbiciel klasycyzmu.

Droga, jaką przebył, i różnorodność form wypowiedzi w poszczególnych fazach twórczości, uporczywe poszukiwanie coraz to nowych środków wyrazu i odwaga prowokująca do nagłych przeskoków — posiadają jeden chyba tylko współczesny odpowiednik w sztuce Picassa. Wprawdzie drogi obu artystów rozeszły się w przeciwnie strony, można jednak znaleźć w początkowych fazach ich sztuki duże analogie.

Strawiński w pierwszych utworach — w baletach „Ognisty ptak" i „Petruszka" — jest kontynuatorem współczesnej sobie rosyjskiej muzyki. Najwięcej zawdzięcza, obok Głazunowa, Rimski - Korsakowowi; u niego studiował kompozycję i in-

Igor Strawiński
rys. Picasso

strumentację, a cały „Ognisty ptak" jest bezpośrednio inspirowany operą Korsakowa „Złoty kogucik" (nie opublikowaną jeszcze w chwili, gdy Strawiński pisał swój balet). Błyskotliwość, efektowna instrumentacja i czerpane z rosyjskiego folkloru tematy — to wszystko jest wykorzystaniem wskazówek starego mistrza. Początki kariery zawdzięcza Strawiński Diagilewowi, który jako propagator rosyjskiej kultury na Zachodzie, zwłaszcza na terenie Paryża, organizował wystawy obrazów, koncerty i przedstawienia baletu. Balet rosyjski w Paryżu, z Diagilewem świetnie nadającym się do roli impresario, to wydarzenie historyczne o doniosłej i przełomowej roli zarówno dla dalszych losów współczesnego baletu, jak i współczesnej muzyki. Wykonane po raz pierwszy na Zachodzie utwory Borodina, Korsakowa, Głazunowa czy Bałakirewa, a zwłaszcza „Borys Godunow" Mussorgskiego były największą ówczesną rewelacją. „Ognisty ptak" — który stał się wielkim sukcesem Strawińskiego — zapoczątkował całą serię współczesnych baletów, zamawianych przez Diagilewa u najwybitniejszych kompozytorów. Ravel, Debussy, de Falla, Satie — zawdzięczają jego inicjatywie swoje powszechnie znane utwory.

Element rosyjskości w muzyce Strawińskiego. Właściwie można go odnaleźć w utworach z każdego okresu, nawet wtedy, gdy kompozytor, wyrywając się z orbity muzyki rosyjskiej, ulega wpływom Francji czy Włoch, gdy transponuje muzykę jazzową, czy pozornie z żadnym folklorem nie ma nic wspólnego. W „Sonacie na dwa fortepiany", powstałej w latach czterdziestych, nagle pojawia się jakiś ludowy motyw, który mógłby się znaleźć w „Petruszce" czy w „Święcie Wiosny". Te pierwsze balety i wszystkie utwory powstałe do roku 1920 obejmują tzw. okres rosyjski w twórczości Strawińskiego. „Ognisty ptak" — z librettem opartym na rosyjskiej legendzie; „Petruszka" — którego akcja dzieje się w czasie karnawału w starym Petersburgu; „Święto Wiosny" — nazwane przez Cocteau georgikami prehistorii; ekstatyczne „Wesele" — balet-kantata o tematyce zaczerpniętej z ludowych rosyjskich obrządków to stopniowy rozwój muzyki Strawińskiego od emocjonalizmu i niemal romantycznej nastrojowości pierwszych utworów w kierunku bardziej chłodnej, opanowanej twórczości. Przełomem jest „Historia żołnierza" — kameralna, unikająca poprzedniego bogactwa instrumentacji i barwności, bardziej klasyczna i umiarkowana w ekspresji.

W tym właśnie momencie muzyka Strawińskiego przechodzi przeobrażenia podobne do malarskich poszukiwań Picassa. Picasso, podobnie jak wielu innych francuskich malarzy, współpracował z Diagilewem przy opracowywaniu dekoracji i kostiumów („Trójkątny kapelusz" de Falli, „Parada" Satie). Ze Strawińskim zetknął się w trakcie przygotowań do „Pulcinelli". „Pulcinella" — oparta na motywach Pergolesego — jest pierwszym utworem o zdecydowanie klasycznym, archaizującym charakterze. Nawrót do klasycyzmu, do tradycji, klarowności i prostoty cechował w tym okresie także malarstwo Picassa. Po kubizmie — którego odpowiednikiem w muzyce może być „Święto Wiosny" — monumentalne, lapidarnie proste akty z tego okresu mają dobry odpowiednik w ówczesnej klasycyzującej muzyce Strawińskiego. Przyjaźń Picassa ze Strawińskim nierzadko była przyczyną tragikomicznych momentów, jak wtedy, kiedy wracając z Włoch do Francji i wioząc ze sobą portret rysowany przez Picassa Strawiński został oskarżony przez celników o wywożenie za granicę wojskowych planów.

Po motorycznych, bardziej bezpośrednich i emocjonálnych wczesnych baletach Strawińskiego muzyka jego, mimo narzuconej wstrzemięźliwości i klasycznych rygorów, nie wyzbywa się pewnego specjalnego emocjonalizmu — mimo że kompozytor odżegnuje się od wszystkiego, co nie jest trzeźwą, racjonalną konstrukcją. Oratorium „Oedipus Rex" do łacińskiego tekstu opartego na adaptacji tragedii Sofoklesa przez Jean Cocteau — nie ma już nic wspólnego z pierwotną bujnością muzyki Strawińskiego, posiada jednak charakterystyczny nastrój, bardzo odpowiadający treści sztuki. Precyzyjna, kanciasta, muskularna muzyka stanowi trafną podbudowę greckiej tragedii. Wynikiem współpracy z André Gide'm jest balet „Persefona", który podobnie jak wcześniejszy „Apollo Musagetes" jest charakterystycznym przykładem muzyki Strawińskiego z tego okresu. Przy całym swoim chłodzie, a może właśnie przez tę rezerwę — Strawiński wydobywa muzykę zupełnie przez siebie niezamierzone treści.

Dalszym punktem przełomowym jest „Symfonia psalmów" (1930). Tu już o braku treści trudno mówić. Fragmenty psalmów i wprowadzony do „Symfonii" chór — stwarzają atmosferę nie pozbawioną pewnego mistycznego charakteru. Po „Symfonii psalmów" Strawiński coraz bardziej lodowacieje. W niektórych utworach jest oschły i ascetyczny. Jeżeli można mówić o poezji tych utworów, jest to poezja matematyki. Matematyki i historii, bo Strawiński — odcinając się zupełnie od wpływów współczesnych sobie kompozytorów (dawniej korzystał zarówno z Schoenberga, jak z de Falli i Debussy'ego) — ulega wpływom dawnych mistrzów. Potrafi — jak w balecie „Gra w karty" — w dość bezczelny sposób eksploatować Rossiniego, Webera czy Czajkowskiego — nie mówiąc już o muzyce XVIII wieku i o Bachu, którym pachnie (to za słabo powiedziane) wiele jego utworów. Ktoś trafnie nazwał takie kompozycje Strawińskiego: to taki Bach z dowcipami. Przetwarza, parafrazuje, ironizuje, ściąga, miesza, kombinuje — ale w sumie owocem tych kombinacji jest jakiś gorszy czy lepszy Strawiński. Jest zbyt silną indywidualnością, żeby zagubić się nawet w historii.

Ciekawą cechą tych utworów (oprócz dowcipu i często powracającego elementu groteski), znowkojarzącą się z malarstwem Picassa, jest pewna linearność, styl „concertante", polegający na ekspozycji poszczególnych grup instrumentów i instrumentów pojedynczych. Trudno się pozbyć tych skojarzeń z Picassem.

W latach czterdziestych w muzyce Strawińskiego pojawia się nowy element. Próbuje scalić swój wczesny emocjonalizm z późniejszą oschłością i dyscypliną. „Symfonia C-dur", „Symfonia w Trzech Częściach", czy opera „The Rake's Progress" — mimo narzucających się reminiscencji klasycznej i romantycznej muzyki — mają być syntezą długoletnich doświadczeń Strawińskiego.

Co o nich wiemy? Strawińskiego trzeba słyszeć. Czy usłyszymy?

Jerzy Olkiewicz

Aktualia księgarniane

Jak z rogu obfitości...

LATO w pełni, sezon „ogórkowy" wczasowy również. Większość z Was, Czytelnicy, rozjechała się „na wszystkie strony świata", aby w malowniczym plenerze oddawać się słodkiej bezczynności. Ale dzielne nasze wydawnictwa nie wiedzą, co to kanikuła. Sypią ciekawymi wznowieniami i jeszcze ciekawszymi nowościami jak z przysłowiowego rogu obfitości! Może dlatego właśnie — aby Wam dostarczyć miłej wakacyjnej lektury, może ze względu na zbliżający się Festiwal Młodzieży, a może troszkę i dlatego, aby... nadrobić zapóźnienia w realizowaniu planów.

Powody tej radosnej inwazji tytułów, jaka „zwaliła" się na nas w ciągu ostatnich dwóch tygodni — nie są jednak istotne. Cieszmy się i — kupujmy! „Ba, ale za co?" — powie niejeden z Czytelników — rezerwy finansowe pochłonął urlop... Rzeczywiście, wobec tylu wartych zakupienia pozycji... Ale każdy zapamiętały bibliofil jakoś sobie poradzi. Chociażby tak, jak jeden z moich znajomych, który wysłany przez żonę po większą partię truskawek na konfitury i kompoty wrócił z... paką książek. Żonie wytłumaczył, że nasz przemysł konserwowy pracuje tak dobrze, że w zimie nie będzie z owocami kłopotu. A atrakcyjne nowości znikają z półek księgarnianych jeszcze szybciej niż ostatnie w tym sezonie truskawki z grządek. Dość jednak gadulstwa, przystąpmy do przeglądu rozłożonych przed nami książek.

Tradycyjnie zaczynamy od klasyków. A więc widzimy wznowienie 3-tomowego wydania **„Dzieł polskich"** J. Kochanowskiego (PIW) i nowe 2-tomowe wydanie (poszerzone o „Zwiastunkę") **„Duszy zaczarowanej"** R. Rolanda (PIW).

Także od PIW-u otrzymaliśmy trzy wielkie dzieła klasyki światowej: **„Wojnę i pokój"** L. Tołstoja (4 tomy), **„Gargantuę i Pantagruela"** Rabelaisa (2 tomy) oraz **„Rodzinę Newcamów"** Thackeraya (2 tomy. Po raz pierwszy w jęz. polskim).

„Pax" wydał w nowej, pięknej szacie graficznej **„Olafa syna Auduna"** S. Undset (2 tomy).

Ze wznowień współczesnej beletrystyki polskiej mamy drugie wydanie poszukiwanej **„Warszawy naszej młodości"** (Iskry), albumowy jednotomowiec **„Między wojnami"** Brandysa (PIW), **„Władzę"** Konwickiego (Czyt.), **„Polonezа"** Boguszewskiej i Kornackiego (2 tomy (Czyt.) i **„Obywateli"** K. Brandysa (wyd. „Jaskółki" PIW).

Niestety, sporo z tych pozycji ukazuje się w warszawskich księgarniach z dużym opóźnieniem. Tak jest np. z „Warszawą naszej młodości", „Rodziną Newcamów" i „Między wojnami", które widziałem już w pierwszej połowie lipca w księgarniach poznańskich.

Wiele zainteresowania wzbudziła nowa powieść o wrześniu 1939: **„Polska jesień"** J. Szczepańskiego (WL). Książka jest napisana ciekawie i... świetnym językiem — co nadaje jej dużą wartość artystyczną. Liczni czytelnicy stawiają ją wyżej od „Września" Putramenta i „Dni klęski" Żukrowskiego. Nie będę się tu drapował w togę sędziego czy krytyka, niechże Czytelnicy sami osądzą!

Ukazał się wreszcie zbiorek opowiadań J. Andrzejewskiego zawierający między innymi — jako opowiadanie tytułowe — głośnego **„Złotego lisa"** (wyd. PIW).

Dwie z nowych powieści polskich poruszają aktualną tematykę wiejską. Są nimi: **„Przednówek"** J. Śladkowskiego (LSW) i **„Drwale"** M. Szczepańskiego. O wsi przedwojennej mówi powieść J. Baranowicza: **„Kolacz i razowiec"** (WL).

Prawdziwym przysmakiem dla smakoszów, miłośników dobrej, wysokiej klasy prozy jest powieść, a raczej duże opowiadanie H. Hesse **„Pod kołami"** (PIW). Herman Hesse, laureat ostatniej nagrody Nobla, jest jednym z najwybitniejszych współczesnych pisarzy niemieckich. Czytelnikowi polskiemu znany jest z wydanych w latach 30-tych powieści: „Wilk stepowy", „Narcyz i Złotousty" i „Siddhartha". Będąc w swoim czasie związany z modnym w Niemczech po pierwszej wojnie światowej ekspresjonizmem — pisarz ten stał się wyrazicielem nieco idealistycznych, lecz szlachetnych idei mieszczańskiego humanizmu.

Amatorzy poezji klasycznej z przyjemnością powitają antologię **„Rzymskiej elegii miłosnej"** w wydaniu Ossolineum.

A teraz parę pozycji młodzieżowych. Nowe wydanie **„O dwóch takich co ukradli księżyc"** K. Makuszyńskiego (NK). Nowe opracowanie **„Mitów greckich"** dokonane przez W. Markowską (Iskry) i wreszcie gruby tom powieści radzieckiego pisarza D. Nagiszkina **„Serce Boniwura"**. Pasjonująca ta powieść jest epopeją przygód młodego chłopca podczas walk toczonych przez młode państwo radzieckie z kontrrewolucją.

Zbigniew Dolecki

Festiwalowy karnet filmowy

(Dokończenie ze str. 8)

dania „Kochajmy żony" lepiej poświęcić czas na obydwa dramaty: „Silniejsi od nocy" oraz „Małżeństwo w cieniu". Chociaż obydwa filmy zrealizowane zostały w dużym odstępie czasu („Małżeństwo" w 1947, „Silniejsi od nocy" w 1954 r.), łączy je tematyka z lat władzy Hitlera. „Małżeństwo w cieniu" poświęcone jest historii małżeństwa aktorów, prześladowanego z powodu żydowskiego pochodzenia żony. Akcja filmu kończy się samobójstwem małżonków, którzy mimo szykan i szantażu nie chcą się rozłączyć. Film „Silniejsi od nocy" opowiada o komunistycznej rodzinie niemieckiej, która mimo prześladowań (w tym obóz koncentracyjny) doczekała nowego, demokratycznego ładu. Obydwa filmy odznaczają się dużym umiarem ekspresyjnym.

Rumunia występuje z całkiem współczesną tematyką: „Nasz dyrektor" i „Słońce wschodzi". Są to obrazy z dzisiejszego życia, i jak większość filmów nowopowstających kinematografii krajów demokracji ludowej zdradzają objawy wszystkoizmu i schematyzmu.

OPRÓCZ wspomnianej Japonii z krajów zamorskich wystąpią jeszcze kinematografie USA, Meksyku, Chin, Egiptu i Indii.

Niewątpliwą rewelacją na stosunki amerykańskie jest „Sól ziemi", zrealizowana przez grupę „wyklętych" z Hollywood postępowców z Michaelem Wilsonem i Herbertem J. Bibermanem na czele. Film ten powstał na marginesie oficjalnej produkcji i przy niesłychanym bojkocie z jej strony. Historia strajku górników, epizod walki robotników z kapitałem, ukazany jest bez żadnych upiększeń czy to tdramatycznych, czy formalnych. Strajk w New-Mexico pokazany jest na tle życia rodzin robotniczych; w stosunkach międzyludzkich i najbardziej codziennych zdarzeniach. Niezwykle oszczędny i prosty w obrazowaniu, jest jednak pełen ciepła i pasji tak dobrze znanej nam z filmów włoskich. Film otrzymał Grand Prix na Festiwalu w Karlovych Varach w 1954 roku.

W dokumentarnym stylu utrzymany jest także drugi amerykański film „Mały uciekinier", który opowiada przygody 7-letniego chłopca Joeya. Joey ucieka z domu i przeżywa dwa dni niezwykłych wrażeń na ulicach Nowego Jorku. Świetnie wygrana jest przez twórców naturalna sceneria Nowego Jorku, która mimowolnie mówi wiele prawdy o stylu amerykańskiego życia. Film nagrodzony był za reżyserię na Festiwalu Weneckim w 1952 roku.

Zupełnie odmienny styl reżyserski — można powiedzieć malarski styl filmowy — prezentują filmy meksykańskie „Maclovia" i „Rio Escondido". Obydwa zrealizowane przez Emilio Fernandeza i operatora Gabriela Figueroa w latach 1947—48, dają indywidualną wizję tego kraju. Twórcy ci bowiem, w oparciu o tradycje meksykańskiej sztuki, wypracowali sobie styl dający syntetyczny obraz Meksyku, jego pejzażu, ludzi i zdarzeń. Wysoki poziom artystyczny tych filmów sprawił, że na całym świecie ludzie utożsamiają sobie Meksyk z dziełami tych dwóch artystów. Zarówno w historii z ciężkiego życia rybaków, jak i w opowieści o nauczycielce, która szerzy oświatę w zapadłej wsi — mamy do czynienia z poezją filmową najwyższej klasy.

Filmy chińskie reprezentują tematykę trzech epok: historyczna legenda ludowa „Hasam i Kamilla", obraz z lat walk wyzwoleńczych ostatnich lat „Rekonesans" i kartka z dni budownictwa socjalistycznego „Bohaterski maszynista". Filmy te ukazują znaczny postęp, jaki w ostatnich latach poczynili filmowcy chińscy zarówno pod względem poziomu technicznego, jak i artystycznego.

„Syn Nilu" zaprezentuje nam kinematografię egipską i pokaże, ze wpływy neorealistyczne dotarły już nawet do kraju piramid, zahaczając uprzednio o indyjskiego „Gazeciarza", który też będzie na Festiwalu.

Ten, z konieczności rzeczy pobieżny, przegląd przedstawia widzowi polskiemu najważniejsze pozycje odzwierciedlające zasadnicze kierunki rozwojowe współczesnej kinematografii postępowej. I mam nadzieję, że pokazuje także, iż głównym bohaterem współczesnego filmu stał się przede wszystkim prosty człowiek. Ale szczegółowiej porozmawiamy o tym bohaterze — z okazji festiwalowej konferencji filmowej — w następnym numerze naszego pisma.

Andrzej Odolański

L. Buczkowski
CZARNY POTOK
str. 237 Cena zł 18.

A. J. Cronin
CYTADELA
str. 236 Cena zł 25

W. Chylicka
SPLATANE KORZENIE
str. 154 Cena zł 16

J. Dobraczyński
DRZEWA CHODZĄCE
str. 244 Cena zł 20

J. Krzyszton
OPOWIADANIA INDYJSKIE
str. 216 Cena zł 15

A. Lepkowski
LUDZIE ZNAD ZATOKI
str. 199 Cena zł 15

D. Pezeril
ULICZKA NOTRE-DAME
str. 170 Cena zł 12

Z. Skierski
JEMIOŁA DOJRZEWA
str. 323 Cena zł 25

S. Undset
OLAF SYN AUDUNA
t. I/II str. 484—460 Cena zł 50

S. Undset
KRYSTYNA CÓRKA LAVRANSA
t. I/III str. 276+403+425 Cena zł 60

M. Żurawiec
CIERPKIE WINOGRONA
str. 336 Cena zł 20

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax" Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa I-14-140317 Sp. Wyd. „Pax" — Instytut Wydawniczy w Warszawie. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczyć zł 3 na koszt przesyłki. Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji Mokotowska 43, tel 8-60 11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wkładodrukowe RSW „Prasa" W wa Marszałkowska 1/5

Zam. nr 1611.

B-6-17941

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

Festiwalowy karnet filmowy

PRZEZ ekrany kin stołecznych w ciągu dwóch tygodni Festiwalu przewinie się nie spotykana dotychczas ilość filmów: 93 filmy wyświetlane w latach ubiegłych (w skład powtórzeń wejdą oczywiście najcenniejsze pozycje krajowe i zagraniczne), 29 filmów zagranicznych zupełnie nowych (w tym 14 tytułów, które wyświetlane będą bez napisów, w wersjach oryginalnych) i 23 filmy, które przywiozą ze sobą delegacje zagraniczne (być może, w przyszłości część z nich zostanie zakupiona i będzie wyświetlana na naszych ekranach).

Cyfry powyższe nie obejmują filmów dokumentarnych, których będzie również pokaźna ilość: 39 filmów polskich i 56 przywiezionych przez gości zagranicznych, nie licząc pozycji wyświetlanych w ramach międzynarodowego festiwalowego konkursu filmowego.

Inowacją w wyświetlaniu programu dokumentarnego będzie wprowadzenie kina tzw. *non stop* (program dokumentarny stale zmieniany będzie tam wyświetlany bez przerwy — wejście w dowolnej porze i bezpłatnie — kino „Śląsk").

A teraz oczywiście niecierpliwe pytanie: co zobaczymy w czasie Festiwalu?

OTÓŻ najciekawiej, moim zdaniem, prezentuje się program filmów francuskich: cały wachlarz znakomitości i rodzajów. Od nich też zaczynam. A więc głośne „Przed potopem" André Cayatte'a; problem młodzieży zepchniętej na granicę zbrodni i występku pod wpływem propagandy zimnej wojny. Film bardzo sugestywnie ukazuje tragiczne skutki, jakie wywiera na młodzież zachodniej Europy atmosfera stałej groźby wojny. Film nagrodzony był w ubiegłym roku w Cannes. Zobaczymy także jeszcze jeden ciekawy (ale dawniejszy) film tego reżysera „Przed sądem". Jak wiadomo, Cayatte jest z zawodu prawnikiem i tematyka sądownictwa bardzo często przewija się przez jego filmy. W „Przed sądem" Cayatte usiłuje rozprawić się z tzw pozorem obiektywności sędziów.

„Piękności nocy" zaprezentuje nam ostatnie (lecz nie najnowsze, bo z 1952 roku) dzieło René Claira. Jest to przeurocza komedia z Gerardem Philipem w roli młodego muzyka, który, niezadowolony z małomiasteczkowej rzeczywistości, w snach swoich wędruje od epoki do epoki. Nocne piękności to oczywiście kobiety umilające podróż naszemu bohaterowi, który przewędrowawszy całą historię znajduje wreszcie szczęście u boku kochanej dziewczyny i w hallu dyrekcji Opery, która wystawia jego dzieło. XVIII-wieczna ironia, farsowa lekkość, clairowska finezja i poezja topią się tu w całość o rzadko spotykanej doskonałości.

Scena z filmu: „Piękności Nocy" (Francja)

Listę laureatów międzynarodowych konkursów — bowiem „Piękności Nocy" nagrodzone były w Wenecji w 1952 roku — zamyka po stronie francuskiej „Biała grzywa" młodego reżysera Alberta Lamorisse. Film ten w 1953 roku uzyskał Grand Prix festiwalu w Cannes (w dziale krótkiego metrażu) i nagrodę Jean Vigo przyznawaną corocznie młodym twórcom we Francji. „Biała grzywa" jest na pół dokumentarną historią przyjaźni pasterza i konia. Film — trwa zaledwie godzinę — jest zrobiony z najczystszego kruszcu poetyckiego i przypomina wielkie romantyczne tradycje filmowe Roberta Flaherty. „Biała grzywa" to jeden z najbardziej poetyckich wzruszających filmów ostatnich lat.

„Cud zdarza się tylko raz" to próba oskarżenia wojny poprzez historię złamanej miłości. Para młodych kochanków (grają ich Alida Valli i Jean Marais) rozdzielona wojną nie potrafi odnaleźć się we wzajemnych uczuciach po kilkuletniej rozłące. Jest to film średniej klasy z roku 1951.

Z dawniejszej produkcji francuskiej (z 1949 roku) jest również „Gigi", adaptacja sentymentalnej powieści Colette. Historia młodej, kapryśnej, niewinnej, naiwnej i uczuciowej dziewczyny, którą matka i ciotka postanowiły wydać (i wydają) za bogatego, lokalnego Don Juana, znalazła doskonałą odtwórczynię tytułowej roli w Danielle Delorme (grała główną rolę w filmie „Bez adresu") Film, raczej poprawny w reżyserii, zrealizowała kobieta-reżyser Jacqueline Andry.

Ostatnim filmem francuskim i zarazem jednym z najnowszych będzie „Destinées". Jest to film złożony z trzech epizodów i z wielu talentów aktorskich, reżyserskich i scenariopisarskich. Nicią łączącą te epizody jest idea antywojenna wyrażana przez kobiety różnych czasów. Pierwsza nowela zatytułowana „Elżbieta" rozgrywa się we Włoszech po ostatniej wojnie, druga „Joanna" — to historia Joanny d'Arc, trzecia „Lizystrata" — to imię bohaterki adaptowanej, znanej komedii Arystofanesa. W rolach tytułowych występują kolejno: Claudette Colbert, Michele Morgan i Martine Carol; reżyserują zaś Marcel Pagliero, Jean Delannoy i Christian Jacque. Najciekawszym w filmie jest epizod „Joanny" utrzymany w dramatycznym, bardzo surowym stylu i komediowa „Lizystrata", która jest swojego rodzaju majstersztykiem farsowym. Połączenie starożytności z niedwuznacznymi, krytycznymi akcentami współczesności, meandrów z jazzem, sex-appealu z togami — zrobione jest z francuskim wdziękiem, taktem i lekkością.

Scena z filmu: „Losy Kobiet" (Japonia)

A TERAZ nareszcie japońskie filmy na naszych ekranach. Od razu trzy: „Losy kobiet", „Jednak żyjemy" i „Poławiacze krabów". Dwa pierwsze są dziełem reżysera Tadaszi Imai, trzeci — S. Jamamury. Wszystkie pochodzą z tzw. niezależnej produkcji i reprezentują szeroki wachlarz możliwości twórczych głośnych już na cały świat japońskich reżyserów. Film „Jednak żyjemy", uważany za prekursora niezależnej produkcji, powstał w ramach pierwszej filmowej spółdzielni założonej po słynnym strajku w wytwórni To-Ho. Treścią „Jednak żyjemy" są dzieje bezrobotnej rodziny japońskiej. W filmie tym, w jego atmosferze i stylu wyczuwa się duży wpływ „Złodziei rowerów" de Siki. Jego premiera w 1951 roku uwieńczona dużym sukcesem (film zaliczony został przez krytyków do 10 najlepszych tytułów roku) pokazała, że postępowi twórcy mogą realizować filmy bez kontroli wielkiego kapitału. Od tego czasu datuje się właśnie rozwój postępowego filmu japońskiego.

Drugi film reżysera Tadaszi Imai „Losy kobiet" (1953), złożony z trzech epizodów, ukazał całkiem odmienny styl twórcy. W losach trzech bohaterek poszczególnych epizodów reżyser podejmuje tematykę moralno - obyczajową w życiu współczesnych Japonek. Film utrzymany jest w poetyckim, ale i surowym jednocześnie stylu. Jest pełen refleksji, zadumy nad życiem, melodramatów — ale reżyser ani na chwilę nie dopuszcza banału. Świetny jest zwłaszcza ostatni epizod z życia gejsz.

O „Poławiaczach krabów" Jamamury pisano na tych łamach kilkakrotnie, a zwłaszcza po jego nagrodzeniu w Karlovych Varach (1954). Akcja filmu, umiejscowiona w dwudziestych latach naszej ery, ukazuje nieludzki wyzysk rybaków, których końcowy bunt stłumiony zostaje brutalnie przez cesarską marynarkę. Film, mimo pozornej historyczności, zawiera wiele aluzji do współczesnych stosunków produkcyjnych i dzięki dużej ekspresji artystycznej uważany jest za jeden z najlepszych filmów ostatnich lat. Styl filmu jest miejscami nierówny; reżyser wpada w naturalizm, widoczne są błędy dramaturgiczne, ale końcowa sekwencja buntu rozegrana z epickim rozmachem okupuje te pomyłki. Wspaniała kulminacja dramatyczna i ekspresja tych scen żywo przypominają tradycje „Pancernika Potiomkina" S. Eisensteina, którego wpływ twórczy jest w tym filmie widoczny.

KINEMATOGRAFIĘ włoską na Festiwalu rzeczywiści reprezentować będzie zespół juniorów Zarówno dawniejszy film (z 1951 roku) „Achtung, banditi!" jak i z ostatniego roku „Zagubiony patrol" „Koniec lata" i „Po wylewie" to dzieła twórców, którzy nie przekroczyli trzydziestu lat i filmy ich są debiutami fabularnymi. „Achtung, banditi!" to dzieje włoskiej partyzantki z ostatniej wojny Jak każde debiutanckie dzieło film jest pełen nierówności, scen świetnych i banalnych. Dzieło wprawdzie dalekie od tej doskonałości reżyserskiej, jaką Lizzani zaprezentował w „Ulicy ubogich kochanków", ale też można je zaliczyć do tzw średniej kategorii, która powstaje w orbicie wpływów wielkich neorealistów włoskich.

Latami ostatniej wojny zajmuje się również film Francesco Maselli „Koniec lata". Ten reżyser interesujących filmów dokumentarnych zadebiutował tu bardzo ciekawym studium z życia młodzieży współpracującej z ruchem wyzwoleńczym. Jedną z głównych ról odtwarza w filmie znana aktorka, Lucia Bose.

Najciekawiej zapowiada się jednak „Zagubiony patrol" 26-letniego Pietro Nelli Jest to film historyczny z okresu Risorgimenta i tematem jego są dzieje patrolu wojskowego wysłanego przeciw Austriakom. Ukazując postępowe oblicze włoskiego ruchu wolnościowego, film jest jednocześnie bardzo ciekawym studium psychologicznym ludzi rzuconych na teren wroga i uważanych z góry za straconych.

Ostatni z włoskich filmów to „Po powodzi" — dzieło Elio Ruffo — jest współczesną historią z życia mieszkańców kalabryjskiej wioski. Utrzymany w dokumentarnym stylu, ukazuje perypetie młodej pary narzeczonych po ostatniej katastrofalnej powodzi, jaka nawiedziła i tak już nędzne okolice.

ZWIĄZEK Radziecki występuje na festiwalu warszawskim z programem z tegorocznego Cannes: a więc „Wielka rodzina", „Romeo i Julia" oraz „Złota antylopa" — wszystkie tamże nagrodzone. „Wielka rodzina" to adaptacja znanej powieści Koczetowa „Żurbinowie" o życiu rodziny radzieckich stoczniowców. Subtelne ukazanie moralnych konfliktów współczesnych ludzi, umiar w sprawach produkcyjnych i świetna gra zespołu aktorskiego — oto cechy charakterystyczne tego filmu. Adaptacja filmowa baletu Prokofiewa „Romeo i Julia" jest dyskusyjna, ale walory choreograficzne, a zwłaszcza taniec Ułanowej, bezkonkurencyjne.

Kinematografia czechosłowacka reprezentowana będzie przez film znanego rezysera Jerzego Weissa „Mój przyjaciel Fabian". Jest to historia dwóch cyganów — ojca i syna — którzy w nowych warunkach społecznych powojennej Czechosłowacji porzucają koczowniczy tryb życia. Twórca znanego nam z ubiegłych lat filmu historycznego „Przyjdą nowi bojownicy" z powodzeniem zrealizował ten dramat psychologiczny. Drugi film czechosłowacki — komedia „Dziś wieczór gramy" jest słabsza zarówno od „Fabiana", jak i węgierskich komedii. Węgrzy zaprezentują się bowiem przede wszystkim komediami: jedną współczesną „Wiosną w Budapeszcie" oraz historyczną „Lilomfi" rozgrywającą się w XIX wieku, w środowisku wędrownych aktorów. Zwłaszcza ta ostatnia pozycja pełna jest beztroskiej romantyki i humoru.

NRD-owska produkcja nie ma szczęścia do komedii i zamiast ogląd-

(Dokończenie na str. 7)

Muzyka Festiwalu

RÓŻNORODNOŚĆ i mnogość zespołów muzycznych oraz solistów zgłoszonych do udziału w tegorocznym Festiwalu Młodzieży przyprawie może o zawrót głowy najzagorzalszych nawet melomanów. Od prymitywnego, nierzadko improwizowanego muzykowania amatorów — poprzez zawodowe zespoły instrumentalne czy wokalne — do dobrze znanych w świecie muzycznym wirtuozów, laureatów niejednego konkursu, Festiwal stanowić będzie kapitalny przegląd wszystkich rodzajów twórczości muzycznej i światowego wykonawstwa. Każdy kraj, każda niemal delegacja zaprezentuje w Warszawie cząstkę swej kultury muzycznej. Omówienie wszystkich tych zespołów wymagałoby zapewne wydania kilkunastostronicowej broszury. Pomijając tak szczegółowy rozbiór, zapoznajmy się z tymi tylko artystami, których opinia przedfestiwalowa zalicza do najciekawszych, a których występy będą dużą atrakcją ze względu na różnorodność i wysoki poziom reprezentowanej przez nich sztuki.

Zwolenników muzyki symfonicznej ucieszy na pewno wiadomość o przyjeździe dobrze znanej wielkiej orkiestry symfonicznej Związku Radzieckiego, która wystąpi w okresie trwania Festiwalu z kilkoma koncertami w sali Filharmonii. Wielka orkiestra symfoniczna z Węgier, która także zapowiedziała swój przyjazd, poza koncertami w Filharmonii z programem narodowym, wystąpi dodatkowo w składanych programach międzynarodowych na wolnym powietrzu.

Występy orkiestr różnych krajów w narodowym programie uznać należy za pomysł nader korzystny, pozwalający naszemu słuchaczowi na częściowe chociaż zapoznanie się z muzyką, której dotąd nie znał. Specjalnie zaciekawia tu mała orkiestra egipska, która zaprezentuje utwory kompozytorów swego kraju, a także wietnamska orkiestra regionalna z programiem narodowej muzyki wietnamskiej. Finlandia przysyła 25-osobowy zespół kameralny, mający w swym repertuarze poetyckie, baśniowe kompozycje muzyków Skandynawii.

Muzykę rozrywkową w najlepszym wydaniu zaprezentuje doskonała węgierska orkiestra rozrywkowa, której powierzono dodatkowo ilustrację muzyczną centralnych uroczystości dożynkowych na Placu Stalina. Innym ciekawym zespołem tego rodzaju jest holenderska orkiestra z Amsterdamu, pod dyrekcją Junge Gonzena, a także rotterdamski „Stormbrigade", mający w swym gronie solistę Ab Bringhorsta, grającego podobno na gitarze tak jak gdyby miał sześć rąk.

Do najlepszych zespołów tanecznych przybyłych na Festiwal zaliczyć trzeba jazzową orkiestrę norweską, czechosłowacką, a przede wszystkim świetną francuską orkiestrę jazzową pod dyrekcją Jerry Mengo z wirtuozem-akordeonistą Jean Grangereau.

Amatorom egzotyki należy zwrócić uwagę na dziewczęcy zespół taneczny z Syrii, poruszający się w takt tanecznej orkiestry syryjskiej, grającej na instrumentach wschodnich. Zwraca uwagę także duński kwartet muzyki ludowej, oraz chór i soliści z Cypru, wykonujący utwory regionalne na instrumentach pochodzenia arabskiego „Udo".

Japonia poza solistami wystąpi ze 100-osobowym chórem mieszanym, podobnie jak delegacja południowo-afrykańska, przyjeżdżająca z wieloosobowym chórem popularnym. Szwajcaria natomiast przysyła mały zespół śpiewaków tyrolskich.

Prawdziwie imponująco zapowiada się udział w Festiwalu polskich artystów muzyków zawodowych i amatorów. Udział ten wyraża się liczbą 300 zespołów, obejmujących przeszło 14 tys. ludzi. Z zespołów zawodowych: Państw. Zespoły Pieśni i Tańca: Mazowsze, Śląsk, Skolimów, Domu Wojska Polskiego, Chłopięcy chór Filharmonii poznańskiej, Filharmonia Górnicza i Hutnicza, chór z Siemianowic — dadzą po kilka występów na Placu Stalina, w Hali Gwardii, na Placu Zwycięstwa i innych miejscach publicznych Program przewiduje polską muzykę narodową i liczne niespodzianki, zapowiedziane na przykład przez Zespół Pieśni i Tańca Domu Wojska Polskiego. Z zespołów amatorskich Zespół Pieśni i Tańca przy Zakładach Strzelczyka w Łodzi wystawi „Kuguta Kujawskiego", Zespół Pieśni i Tańca z Łowicza — „Wesele Łowickie", a zespoły „Zielone Kurpie" z Białegostoku, z Wilanowic, z Końskiej Woli i wiele innych wystąpią z programem regionalnym. Wielką rewelacją Festiwalu, przysłowiowym jego „gwoździem", ma stać się występ robotniczego zespołu pieśni i tańca z kopalni „Knurow", który wystawić ma bardzo ponoć ciekawy i pełen uroku coctail taneczno-muzyczny. Ciekawie również zapowiada się występ nowopowstałego, zakrojonego na ogromną skalę zespołu tańca polskiego.

Rzecz jasna, że jeden człowiek nie będzie mógł usłyszeć i zobaczyć wszystkich wymienionych imprez Jednak organizatorzy przy układaniu programu powinni byli pomyśleć o ułatwieniu recenzentowi obecności na bardziej interesujących występach. Tymczasem nie zawsze sprawa ta została rozwiązana pomyślnie. Choćby zorganizowanie wszystkich siedmiu konkursów muzycznych w jednym dniu. Tak więc 2 sierpnia odbędzie się konkurs pianistyczny w sali Pałacu Kultury i Nauki, konkurs skrzypków i wiolonczelistów w teatrze MDK, gry na instrumentach dętych w sali Ministerstwa Kultury i Sztuki, gry na akordeonie, gitarze i harmonijce ustnej w Domu Kultury Energetyków, konkurs śpiewu solowego w teatrze „Syrena" i śpiewu ludowego w sali Ministerstwa Kolei.

Dwa tygodnie Festiwalu staną się okresem nieznanej w Warszawie ilości imprez muzycznych; we wszystkich salach koncertowych i pomocniczych, na placach, w alejach i skwerach usłyszymy muzykę różnych kontynentów, poznamy kulturę różnych narodów.

Są też, szeptem na ucho mówione, zapowiedzi o udziale w Festiwalu wielkich wirtuozów, ulubieńców polskiej publiczności i miłośników naszego miasta: Arturo Benedetti, Bernard Ringeissen, Monique Duphil...

O prawdziwości tych zapowiedzi przekonamy się za kilka dni.

J. S.

Scena z filmu: „Rio Escondido" (Meksyk)